Rocznik VII. N. 10 — 1903.

Wiadomości Salezyańskie



TURYN
DRUKARNIA SALEZYAŃSKA

Carlucci

POMOCNICY SALEZYAŃSCY

czyli

SPOSÓB PRAKTYCZNY

PODNIESIENIA OBYCZAJÓW

W SPOŁECZEŃSTWIE.

(Ciąg dalszy).

6. Każdy Pomocnik wedle danych okoliczności może każdego czasu przedstawić Przełożonemu głównemu to wszystko, co uważa za godne wzięcia pod rozwagę.
7. Co trzy miesiące albo jeszcze częściej zdawać się będzie Pomocnikom, czy to pomocą buletynu, czy też innego pisma, sprawę z tego wszystkiego, co nam przedłożono, co się już zrobiło i co do zrobienia pozostaje. Pod koniec zaś każdego roku przedłoży się stowarzyszonym spis spraw, któremi w roku następnym najwłaściwiejby się zająć wypadało. Poda się również wykaz zmarłych członków Związku, polecając ich dusze wspólnym modlitwom.
8. W dzień św. Franciszka Salezego i w święto Matki Boskiej Wspomożenia każdy dyrektor albo też dekuryon zbierze swoich Pomocników, ażeby się wzajemnie pobudzać do nabożeństwa ku tym niebieskim Opiekunom, by wyprosić sobie ich pomoc ku wytrwaniu w pracy i nadal w duchu Związku.

VI.

Obowiązki poszczególne.

1. Członkowie Zgromadzenia salezyańskiego uważają wszystkich Pomocników jako swoich braci w Chrystusie i udają się do nich wprost, ile razy ich pomoc może być użyteczną ku większej chwale Bożej i na pożytek dusz ludzkich. Pomocnicy znowu, ilekroć tego zajdzie potrzeba, z podobnem zaufaniem zwracać się będą do członków Zgromadzenia salezyańskiego.
2. Stąd wszyscy związkowi, jako synowie jednego Ojca niebieskiego a bracia w Chrystusie Panu, uczynią co tylko będzie w ich możności, aby wspierać i podtrzymywać zakłady Zgromadzenia, bądź własnym datkiem, bądź jałmużną, zebraną u osób dobroczynnych.
3. Pomocnicy nie mają żadnych stałych zobowiązań pieniężnych, lecz bądź miesięcznie, bądź rocznie, taką ofiarują jałmużnę, jaką im wskaże ich litościwe serce. Datki te wysyłać się będą na ręce Przełożonego dla podtrzymywania spraw i zakładów, które są pod kierunkiem Związku.
4. Corocznie odbędą się przynajmniej dwa zebrania: jedno w święto Matki Boskiej Wspomożenia, drugie w święto św. Franciszka Salezego. Na każdem z nich odbędzie się składka w sposób, jak wyżej powiedziano (nr. 3). Tam zaś, gdzieby Pomocnicy nie mogli stanowić *dekuryi*, lub gdyby w razie jakiejś przeszkody kto nie mógł przybyć na zebranie, wtedy prześlą swój datek drogą dla nich najdogodniejszą a pewną.

VII.

Korzyści duchowne.

1. Ojciec Święty Pius IX dekretem z dnia 30 lipca 1875 rozciągnął na Dobrodziejów Zgromadzenia salezyańskiego i na jego Pomocników wszystkie łaski duchowne i odpusty nadane zakonnikom salezyańskim, z wyjątkiem tych, które się odnoszą do życia wspólnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE



Z DZIEŁA X. BOSCO (COTTOLENGO 32 TURYN (ITALIA))



A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (Mat. XVIII, 5).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychowywać ją po chrześcijańsku: dawajcie jej do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ostrzedz przed sidłami ze psucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. Leon XIII).

ROCZNIK VII. Nr. 10. Wychodzą co miesiąc. **PAŹDZIERNIK 1903**

TREŚĆ:

	Str.
Niech żyje Pius X!	253
Ksiądz Bosko a Wychowanie (*Ciąg dalszy*)	258
Misye salezyańskie: Kolumbia — Przez Ekwator	263
Kronika salezyańska — Europa — Ameryka	270
Żywot X. biskupa Alojzego Lasagni (*Ciąg dalszy*)	273
PIERWSZE 25-LECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO, założonego przez X. Jana Bosko (*Ciąg dalszy*)	277

Niech żyje Pius X!

Kościół św. złożył żałobę a katolicyzm raduję się u stóp ołtarzy, dziękując Bogu za udzielonego Pasterza. Narody katolickie przestały być sierotami, bo w pamiętnym dniu 4go sierpnia, w uroczystość św. Dominika, o godz. 11,50 otwarł się balkon św. Piotra w Rzymie, a kardynał Macchi oznajmił wśród powszechnego wzruszenia zebranemu tłumowi, że św. Kollegium obrało Papieżem **Najprzew. ks. kardynała JÓZEFA SARTO, Patryarchę Weneckiego.** Wojsko stojące na placu św. Piotra prezentuje broń, uderzono radośnie we wszystkie dzwony w 360 kościołach rzymskich a z 30 tysięcy piersi wzbija się ku niebu okrzyk: *Niech żyje Papież Pius X!*

Telegrafy i telefony roznoszę błogą nowinę, a gazety zapełniają nią w mgnieniu oka świat, wskrzeszając w każdej duszy nieopisaną radość. W ten sposób od samego swego wyboru na Namiestnika Chrystusowego, Pius X odbiera te same dowody miłości i chwały, co jego nieśmiertelni poprzednicy Pius IX i Leon XIII. Dla niego odżył ten sam entuzyazm, co wskrzesiła wielkość, dobroć i miłość obydwóch

a powszechna radość z powodu jego wyniesienia na tron papieski zamienia się na okrzyk tryumfu. Niczego na ziemi porównać nie można z obecnym tryumfem Kościoła Bożego, tryumfem, który można nazwać cudownym.

Jeśli zwłokom tego cudownego Papieża, jakim był Leona XIII, cały świat oddał głęboki szacunek, to uroczyste ukoronowanie Piusa X tyarą papieską wzbudziło we wszystkich narodach powszechne uznanie. Uczestniczyło w tej uroczystości, dokonanej 9go sierpnia u św. Piotra co najmniej 60,000 osób opatrzonych biletami wstępnymi. Drzwi były zamknięte. Na zewnątrz wojsko, uszykowane dokoła schodów, regulowało wstęp i utrzymywało porządek; wewnątrz bazyliki czuwało nad ładem wojsko papieskie.

Papież w otoczeniu kardynałów, dygnitarzy i gwardyi przybocznej udał się pieszo o godz. 8,30 na krużganek bazyliki. Przed Bramą świętą wzniesiony był tron, na który Ojciec św. wstąpić w szatach pontyfikalnych w kapie i z mitrze, podczas gdy kardynałowie zajęli miejsca w osobnych ławkach.

Kardynał Rampolla, jako dziekan kościoła św. Piotra wraz z kapitułą i klerem watykańskim złożył mu hołd po łacinie, poczem kapituła i kler została dopuszczona do ucałowania nogi. Tymczasem śpiewacy kaplicy Sykstyńskiej odśpiewali: *Tu es Petrus.* Papież usiadł na t. zw. *sedia gestatoria* i poprzedzony przez dygnitarzy i kardynałów wszedł o godz 9tej głównemi drzwami do bazyliki, gdzie został przyjęty hucznymi oklaskami; tymczasem na balkonie z którego udzielono błogosławieństwa, przygrywały srebrne trąby. Przed ołtarzem Najśw. Sakramentu zeszedł z tronu i przez parę minut klęczał z kardynałami przed wystawionym Przenajśw. Sakramentem. Usiadłszy znowu na tronie, został wśród nowych okrzyków przeniesiony do kaplicy Klementyńskiej, gdzie wzniesiony był inny tron. Papież usiadł na nim, podczas gdy kardynałowie, patryarchowie, arcybiskupi, biskupi i penitencyaryusze zajęli miejsce w osobnych ławkach. Kardynałowie, arcybiskupi i biskupi złożyli przysięgę posłuszeństwa, poczem Papież udzielił głosem wyraźnym i silnym uroczystego błogosławieństwa. O godz. 10,30 rozpoczął Papież przed ołtarzem konfesyi Mszę św., która trwała bardzo długo. Po skończonej Mszy św. ubrał się znowu w wszystkie szaty papieskie z wyjątkiem manipularza, który zostawił na ołtarzu. Gdy już usiadł na *sedia gestatoria*, orszak ruszył tą samą drogą, którą był przybył, zatrymując się przy relikwiach i przy ołtarzu Najśw. Sakramentu, poczem doszedł przez *scala regia* do balkonu, na końcu którego był urządzony tron. Śpiewacy zaintonowali *Corona aurea.* Kardynałowie dyakoni zdjęli z głowy Papieża mitrę a kardinał Macchi włożył natychmiast Piusowi X tyarą, oznakę władzy papieskiej. W tej chwili obiły się o mury bazyliki liczne i długie oklaski, podczas gdy wojsko wykonało manewrę: *klękać.* Tak ukoronowany Pius X powstał i głosem

wzruszonym odmówił lekcye ceremoniału, poczem odczytał formułę błogosławieństwa, którą znowu przyjęto wybuchem oklasków i okrzyków *Niech żyje!*

Po skończonej ceremonii orszak, wracając od ołtarza konfesyi i przechodząc w całej swojej długości główną nawatę wśród nieskończonych okrzyków zgromadzonego ludu, udał się przez kaplicę Najśw. Sakramentu do apartamentów papieskich.

Wypadek to wzniosły i jedyny! Faktem, którymśmy w kilku słowach streścili, interesowały się gazety wszystkich odcieni i wszystkich narodów, wchodząc w najdrobniejsze jego szczegóły. Nawet takie pisma, które zwykle na każdym kroku buchają nienawiścią ku Rzymowi, z okazyi tego zajścia zaczęły odgrywać rolę apologetów Kościoła św., opisując wzniosłość i piękność jego świętych obrzędów. Nie jestto tryumf nacechowany cudownością? I jakżesz tłómaczyć sobie ten zwrót wszystkich umysłów i wszystkich serc do stolicy Piotrowej, na której zasiadł nowy Papież. A czemuż wraz z tym wypadkiem szerzy się na świecie taka radość? Ponieważ świat katolicki potrzebuje Papieża, jak niewowlę potrzebuje matki, jak budynki potrzebują fundamentu, na którymby się opierały. My to odczuwamy, my widzimy codziennie, że potrzebujemy Papieża, albowiem potrzebujemy kapłaństwa, któreby nas zachowało od zepsucia, a Papież wskutek swego nauczycielstwa, juryzdykcyi i władzy, jest właśnie królewską koroną kapłaństwa. Potrzebujemy Papieża, gdyż potrzebujemy Jezusa Chrystusa, a Papież jest zasłoną Boga, który nam przez jego usta podaje słowa nieomylnej prawdy.

Leon XIII zmarł, lecz Papież nie umarł: on żyje teraz w osobie Piusa X i żyć będzie w jego następcach. *Portae inferi non praevalebunt!*

Niech żyje więc 264ty następca na nieomylnej stolicy Piotrowej! Niech żyje Pius X!

Ojcze święty! My się korzymy przed wielkością Twojej osoby, przed majestatem Twojej władzy, przed świętością Twego posłannictwa, przed powszechnem uznaniem, jakie Cię zewsząd otacza. My czcimy w Tobie Namiestnika Chrystusowego, następcę św. Piotra, przedstawiciela papiestwa w niebezpiecznej dobie, światło co oświeca, prawdę co ogrzewa, słowo Boże co obija się o nasze serca. My prosimy Boga, by Ci zdrowia i szczęścia użyczyć raczył, by Ci błogosławił i odwrócił od Ciebie ręce nieprzyjaciół.

Ty jesteś kierownikiem naszego życia duchownego, albowiem w Twojej mocy jest nasza dusza; Ty jesteś dumą całej ludzkości a nieskończone pochwały, jakie żegnały gasnącą gwiazdę Twego bezpośredniego poprzednika a witały zaranie Twego chwalebnego królestwa, napawają nas weselem i napełniają dumą Twoich synów.

Ojcze święty! Salezyanie, synowie ks. Bosko, już tylekrotnie od Ciebie wspomagani, protegowani i zachęcani w ciągu Twego biskupstwa w Mantui i Twego patryarchatu w Wenecyi, w szczególniejszy sposób Ci błogosławią i z najgłębszą wdzięcznością uznają Cię za swego wodza, pasterza i ojca najdobrotliwszego. Tak, Ojcze św., w Tobie otrzymaliśmy nowego Leona, nowego Pierwszego Pomocnika i Pracownika Salezyańskiego. Przeto uszczęśliwieni tą myślą, że jesteśmy kochani i pobłogosławieni przez takiego Ojca, wszyscy — Salezyanie, Córki Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, młodzież naszej pieczy powierzona wraz z niezliczoną rzeszą Pomocników i Pomocnic salezyańskich — ponawiamy u stóp Twoich wyrazy najzupełniejszej uległości, całkowitego i najmocniejszego przywiązania do nieomylnej stolicy Piotrowej, która w Tobie na nowo ożyła. Z tej okazyi oświadczamy uroczyście, że przyswajamy sobie uczucia wiary, miłości i czci, któremi dla Stolicy św. płonęli nasz Patron św. Franciszek Salezy i nasz Ojciec i założyciel ks. Bosko i przyrzekamy, że wszyscy zawsze przyjmować będziemy pilnie, czcią i prostotą myśli i serca nietylko Twoje rozporządzenia dotyczące dogmatu i dyscypliny, ale Twoje zdanie, Twoje postanowienia, Twoje życzenia nawet w rzeczach nierozstrzygniętych i zawsze będziemy szczęśliwi, gdy te życzenia zdołamy przewidzieć i uprzedzić.

Niech te słowa, nędzne wprawdzie, ale natchnione miłością i wiarą, ulżą Twemu sercu obciążonemu teraz troską o całą ludzkość! Niech modlitwy i Komunie św., które Salezyanie ze swoimi wychowankami ile możności jak najgorliwiej za Ciebie Bogu ofiarują, ściągną na wielką Twoją duszę obfite błogosławieństwa, abyś się stał nową chwałą i nowym blaskiem Kościoła katolickiego i abyś żył długo błogosławiony od wszystkich narodów.

A teraz z wysokości Twojego tronu pobłogosław, o wielki Piusie, skromnemu Zgromadzeniu salezyańskiemu i Córkom Wspomożycielki Wiernych, abyśmy oddani, choćby do krwi rozlewu, tej niewzruszonej opoce i Twemu nieomylnemu nauczycielstwu, trzymali się stale zasad nieodżałowanego naszego Ojca i abyśmy w tej uległości i w tej stałości mogli znaleźć ducha prawdziwego życia i w ten sposób zapewnić sobie i naszej młodzieży zbawienie w czasie i w wieczności.

Tak, racz pobłogosławić, Ojcze św., naszym osobom, naszemu skromnemu czasopismu, jego 250 tysiącom czytelników a Twoje błogosławieństwo niech będzie zadatkiem pomyślności i pokoju dla rodzin naszych Pomocników i rękojmią lepszej przyszłości dla świata a coraz większej chwały dla Kościoła katolickiego.

***

Do krótkich notatek podanych w numerach sierpniowym i wrześniowym o nowym Papieżu, załączamy dzisiaj nieco obszerniejszy życiorys, wyjęty z *Gazety Narodowej*, Nr. 178: „Józef Sarto urodził się we wsi Riese,

należącej do dyecezyi Treviso, o kilka mil odległej od Wenecyi. Ojciec Piusa X był człowiekiem ubogim, sprawował niższe usługi przy municypium w Treviso; odumarł on Józefa w wieku młodym; matka zmarła w r. 1893. Brat papieża po odbyciu służby wojskowej w armii włoskiej zajmuje się sprzedażą win w Mantui; nadto żyją 4 siostry papieża. Młody Józef był bardzo pilnym w naukach szkolnych; po ukończeniu niższych studyów wysłali go rodzice do Castelfranco; następnie przybrawszy sutannę wstąpił do seminaryum w Padwie. Studya teologiczne ukończył *summa cum laude* i 18. września 1858, mając lat 23 został w katedrze w Castelfranco wyświęcony na kapłana. Wkrótce potem był proboszczem w Tombolo, później w Salzano. W r. 1875 mianowano go kanclerzem kuryi biskupiej i ojcemdu chownym seminaryum wielkiego; potem egzaminatorem prosynodalnym, sędzią sądu kościelnego, a nakoniec, gdy stolica biskupia w Treviso zawakowała, wybrano go wikaryuszem kapitulnym.

Dnia 10 listopada 1884 r. został biskupem w Mantui. W kilka lat potem został opróżniony patryarchat wenecki. Sprawa nominacyi nowego patryarchy stała się przedmiotem długiego sporu pomiędzy Stolicą św. a rządem włoskim. Szło mianowicie o to, iż rząd włoski rościł sobie pretensye do dawnych przywilejów, udzielonych przez papieży rzeczypospolitej weneckiej, a w szczegolności do przywileju mianowania patryarchy. Mimo to jednak wykazano, że patryarchat wenecki jest tylko dalszym ciągiem dawnego patryarchatu akwilejskiego i że prawo, nadane przez papieży za czasów patryarchy św. Wawrzyńca Giustiniani, jest tylko przywilejem z łaski (*privilegium gratiosum*), danem Rzeczypospolitej weneckiej, który to jednakowoż przywilej, nie może być przeniesionym na kogo innego.

Rząd włoski przez dłuższy czas odmawiał udzielenia *exequatur*, ale później musiał się zgodzić na żądanie Watykanu, wskutek tego dnia 15 czerwca 1893 r. został mianowany patryarchą weneckim, trzy dni zaś przedtem, bo na konsystorzu dnia 12. czerwca 1893 był kreowany kardynałem-kapłanem. . . .

Kardynał Sarto odznaczał się ogromną gorliwością w zarządzie dyecezyi. Był tym roztropnym i energicznym reformatorem, który umiał usunąć niejedno nadużycie, jakie się wkradło do kościołów jemu podległych. Dzięki jemu zakwitnął na nowo w Wenecyi śpiew gregoryański, a proboszczowie otrzymywali często wskazówki w sprawie dokładnego zachowywania przepisów liturgicznych.

Kardynał Sarto jest wzrostu średniego, bardziej niski, włosy ma mocno przyprószone siwizną. Na twarzy maluje się wielka powaga i niczem nie zamącony spokój, pełen łagodności. Takie samo też wrażenię sprawia pontyfikalna jego celebra. W swojej dyecezyi cieszył się się wielką czcią. . . .“

Ksiądz Bosko a Wychowanie.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Wykształcenie umysłowe.

(Ciąg dalszy).

III.

Wyrobienie pamięci.

Wielki to błąd pedagogiczny kształcić tylko rozum a zaniedbywać pamięć; powiedzieć bowiem można, że pamięć jest istotnem wydłużeniem umysłu, bo jest władzą, za pomocą której umysł zachowuje, uznaje i pozyski ciągnie z nabytych wiadomości. Na cóżby się n. p. zdało rozumienie jakiegoś twierdzenia geometrycznego, gdyby natychmiast zapomniano jego treść, określające je wyrazy i dowody odpowiedne? Jakże umysł może wydać jaki sąd, jeśli nie pamięta dwóch pojęć, które należy albo połączyć albo rozdzielić? Jak tu wyprowadzić wniosek z rozumowania nie uprzytomniając sobie dwóch sądów czyli przestanek? Bez pamięci niema co marzyć o gruntownem zapoznaniu się z jakąkolwiek nauką, czyto geografią, czy historyą, czy umiejętnościami, lub literaturą; rozum ludzki bez pamięci jest podobny do sitka w którem żadnego płynu przechowywać nie można. Niezbędną zatem i ważną jest rzeczą wyrabiać pamięć. O tem co mówi pedagogia Salezyańska? Trzy środki fizyczne, pisze ks. dr. Barberis, przyczyniają się do zachowania i rozwoju pamięci: regularne używanie spoczynku, umiarkowane ćwiczenie sił fizycznych i pamięciowych a przedewszystkiem wstrzemięźliwość i czystość.

Z pewnością twierdzić można, że środkiem moralnym korzystnie działającym na pamięć jest cnotą, której zwykle towarzyszą: ład, pokój wewnętrzny, oraz skłonność do zastanawiania się i myślenia — warunki nieodzownie potrzebne dla utrzymania świeżości pamięci. Występek przeciwnie, idzie ręka w rękę z nieładem, lekkomyślnością, lenistwem umysłowem, niedbalstwem i zapominalstwem.

Profesor powinien się koniecznie przykładać do uprawiania pamięci swych uczniów. W tym celu każe się uczyć niektórych lekcyi dosłownie, a co do innych, poprzestanie na wymaganiu ściśle oddanej treści zadanego ustępu. W pierwszym przypadku, uczeń wzbogaca swój słownik nowemi wyrażeniami; w drugim powiększa zasób wiadomości, zaprawiając się zarazem do ich wyrażenia. Nauczyciel użyje pierwszego sposobu do katechizmu a drugiego do historyi świętej. W nauce gramatyki wymagają zwykle dosłownego wygłoszenia określeń; zostawiając pewną swobodę co do przytaczania przykładów.

Powtórki tygodniowe, miesięczne, kwartalne, półroczne i całoroczne powiększają i wzbogacają pamięć.

Niektórzy nauczyciele kształcą pamięć swych uczniów przez memorowanie ustępów nadobowiązkowych. W tych wypadkach pilny uczeń podniecony myślą współzawodnictwa i nadzieją nagrody, gotów jest czynić zadziwiające postępy; należy tylko unikać nadmiaru i przesady. Lekcya wieczorem w głowę wbita, utrwala się następnego rana przez pilne powtórzenie. Jest faktem dowiedzionym, że głośno się ucząc, tem lepiej rzecz w pamięci ustalamy. To samo odnosi się do kółek w których są przepisane rozprawy i przemówienia.

Rozróżniamy trzy stopnie nauki, — mawiał pewien czcigodny wychowawca: uczymy się bowiem albo by rozumieć, albo by zapamiętać; albo wykładać czyli nauczać. Otóż, nic tak nie utrwala rzeczy w pamięci, jak obowiązek powtarzania ich publicznie i nauczania innych. Chcąc wykładać, nie wystarcza zapamiętać przedmiot; należy go rozumieć gruntownie, a dokładne pojęcie zasila pamięć. Wszelki stopień nauki wymaga *ustępów wyborowych.* Bierzemy je z arcydzieł języka ojczystego lub języków obcych. Gdy chodzi o język ojczysty przekładać należy poezyę nad

prozę, wyrażenia w niej gładsze, dobitniejsze i więcej się nadają do wyrobienia stylu młodego pisarza. Co do języków obcych korzystniej uczyć się raczej prozy, bo ta mowa, która jest w użyciu i ułatwia przyswojenie sobie języka. Pomimo tego posiadając już dostatecznie język obcy, można się z wielką korzyścią uczyć jego poezyi — dla uchwycenia bogactwa i odcieni językowych.

Po tych uwagach ogólnych, wchodzi ks. dr. Barberis w szczegółowe środki mnemotechniczne, czyli ułatwiające zapamiętanie pewnych wiadomości. „Nauczyciel, pisze on, to wielki czynnik w uprawianiu pamięci, bo on ją zaostrza i potęguje zapomocą ćwiczenia.

Cel ten osiągnie, wykładając najprzód zadaną lekcyę; ani zbyt długo ani zbyt krótko; wymagając od uczni wyraźnego wymawiania zadanych lekcyi zapisując natychmiast zasłużony stopień, rozbierając ustępy, będące przedmiotem memorowania i wystawiając na próby pamięć uczniów, czyto pojedynczo, czy też zbiorowo.

Dobry profesor na początku lekcyi zwykł przypominać treść ostatniego wykładu. Zadań nie daje ani zbyt trudnych, ani zbyt łatwych. Są za trudne, jeżeli większość uczniów niedostateczny odnosi stopień, za łatwe przeciwnie, gdy wynik pracy jest wyjątkowo pomyślny i niezwykły.

Streszczenia ustne lub piśmienne, to także środek uprawiania pamięci, zwłaszcza streszczenie krótkie przybiera formę przeglądu, lub starannie zestawionych tablic synoptycznych, w których myśli główne zajmują miejsce naczelne w stosunku do drugorzędnych, tak że oko staje się dzielnym pomocnikiem pamięci.

Zadania piśmienne, będące zastosowaniem różnorodnych prawideł gramatycznych, są doskonałym środkiem nauczenia się tych prawideł i zapamiętania ich. To samo odnosi się do zadań arytmetycznych, algebraicznych, geometrycznych, fizycznych i innych, przyczyniają się one bowiem do tem skuteczniejszego utrwalenia w pamięci wiadomości i określeń naukowych.“

Wiemy, że ks. Bosko był obdarzony przedziwną pamięcią, nadzwyczajną, niemal cudowną, o czem świadczy zdarzenie zaszłe w szkole w Castelnuowo d'Asti. Profesor odczytał długi ustęp z Korneliusza Neposa i poprosił młodego Bosko, żeby go przetłomaczył dosłownie. Uczeń nie miał właśnie książki pod ręką. Dla własnej jakoby pewności bierze czemprędzej gramatykę łacińską, leżącą na ławie, otwiera ją, i udając że czyta, przetłomaczył ów ustęp nic zgoła nie opuściwszy. Sąsiedzi śmiali się z tego faktu.



J. św. Papież Pius X.

Profesor nakazał wyjawić przyczynę śmiechu; dowiedział się i zdumiał.

Pamięć ks. Bosko była nad wszelki wyraz stała. Pod koniec życia przytaczał długie ustępy z klasyków, jakich od przeszło 40 stu lat nie odczytywał. Do ostatniej chwili znał i wołał po imieniu każdego ze swoich synów, których już liczono setkami.

Któż opowie jak wielkie usługi oddała tak nadzwyczajna pamięć księdzu Bosko, bądźto kiedy układał co miesiąc tomik *Czytań Katolickich*, których długie czasy był jedynym redaktorem, bądźto gdy pisał Historyę świętą, Dzieje Kościoła, Dzieje Włoch i tyle mistrzowskich podręczników? Wskutek tej pamięci zawdzięczamy ową werwę kaznodziejską, owe nauki zapełnione szczegółami historycznymi i opowiadaniami, które porywały zdumionych słuchaczy.

Jeśli z natury nie jesteśmy wyposażeni równie szczęśliwą pamięcią jak ks. Bosko, uprawiajmy jednakże najstaranniej tę, którą nam Bóg dał; najlepsza bowiem pamięć rdzewieje, jeśli zaniedbana, a przeciwnie najniewdzięczniejsza przez ćwiczenie przedziwnie się powiększa. To fakt niezaprzeczony.

IV

Kształcenie rozumu.

Omawiając ten przedmiot, zapożyczymy wiadomości wyżej przytoczonego ks. dra Juliusza Barberis'a, którego zasad pedagogii religijnej uczą się nasi klerycy, a które młodych profesorów salezyańskich przysposabiają do posłannictwa wychowawczego. Oto co ks. Barberis mówi o kształceniu rozumu.

„Pedagogia rozumu jest sztuką uprawiania dziecka przez naukę. Oczywista że sztuka ta powinna się opierać na samej istocie rozumu ludzkiego. Rozum nasz jest jednolitym co do swej istoty, a różnorodnym co do swych władz. Należy zatem kształcić wszystkie władze dziecka nie zaniedbując żadnej, nie przekładając jednej nad drugą; w przeciwnym razie wychodowałoby się coś potwornego; podobne jak gdyby w ciele ludzkiem starano się powiększyć głowę kosztem innych członków, lub gdyby tak wyciągano jedną nogę, iżby w końcu była dłuższą niż druga. Widzimy zatem, że pedagogia zasadza się na antropologii, przedewszystkiem jednak na psychologii, i że niemasz dobrej pedagogii bez dobrej filozofii."

Następnie rozwija ks. Barberis bardzo mądrze tę zasadę, że kształcić, czyli uprawiać umysł, nie znaczy napełniać go wiadomościami mniej lub więcej ważnemi lub potrzebnemi, lecz jestto rozwijać za pomocą różnych ćwiczeń wrodzoną jego siłę. „Nauczać," powiada, „jestto przedstawić prawdę, ukazać ją umysłowi tak jak oczom pokazujemy przedmiot materyalny. Należy zatem uczniowi prawdę przedłożyć, ale jednocześnie starać się o to, by ją uczeń przez wykład zrozumiał; by stosownie do wieku się nad nią zastanowił, — by w sobie samym i sam przez się szukał prawdy. W tym celu trzeba od rzeczy łatwych przystępować do trudnych, od pojedynczych do złożonych, od zasad do wniosku; w ten sposób umysł zaprawia się, nabywa sił i coraz więcej wnika w światło! W dziecku budzi się najpierw spostrzeżenie zmysłami: dziecko widzi, dotyka się, słyszy. Następnie budzi się pamięć, która krótko po swym brzasku jest i giętka i stała; później wyobraźnia, pracująca nad pojęciami już zdobytemi, lub nad wiadomościami zachowanemi w pamięci, dla wydania ich na zewnątrz, dla ich odmalowania i zestawienia. Już od najmłodszych lat napotykamy w dziecku ślady wyobraźni twórczej."

Nie należy zbyt wcześnie pozwalać dzieciom rozumować, bo do tego nie zdolne. Poczynają one najpierw wierzyć, naśladować i nie czują zrazu potrzeby zdania sobie sprawy z tego, co pojmują. Jak długo mnożą a nawet i dodają nie pytając o przyczynę metody!

Tymczasem o Bogu należy mówić dziecięciu od najrańszych chwil. Jestto zdanie ks. dra Barberis'a i wszystkich wychowawców godnych tego imienia, nawet wychowawców racyonalistycznych, odcienia spirytualistycznego. Tłomaczą to w ten sposób, że dziecko bardzo prędko rozróżnić potrafi istoty, które widzi od tych, których nie widzi, ale których istnienie przypuszcza. Śledźmy szczególniej dziecię na wsi: „Mamo," mówi, „któżto zrobił kamienie?" — „To Bóg, moje dziecko, stworzył kamienie!" — „Któż zrobił drzewa?" — „I te stworzył P. Bóg!" — „Któż stworzył słońce?" — „Bóg." — „A któżto sprawia, że pada? — „Pan Bóg!" — „Pan Bóg wszystko zrobił, wszystko stworzył." — A gdzież jest Bóg?" — Bóg jest w niebie i na ziemi, bo on większy od nieba i ziemi. On jest tu

w pokoju.“ — „A dlaczegóż go nie widać?“ — „Nie widzimy go, bo nie ma ciała, to duch czysty, podobny do wiatru.“ — Odpowiedzi te pomaleńku mieszczą się w pamięci dziecka i skłaniają je do zastanawiania się stosownie do wieku. Tym sposobem wiadomość o Bogu, Stwórcy i Panu najwyższym rozwija się w latach młodocianych i staje się jasną pochodnią kierującą jego krokami w poszukiwaniu prawdy, i rzucającą jasność zbawienną na wszystko, czego się skądinąd nauczy.

Można zatem śmiało powiedzieć, że Bóg jest słońcem rozumu. Dziecko ma prawo być przez to słońce oświeconem; a ci, co mu tego odmawiają, są profesorami niewykończonymi, żeby nie powiedzieć nieudolnymi, są gorszycielami, którzy nie oświecają, lecz zaślepiają.

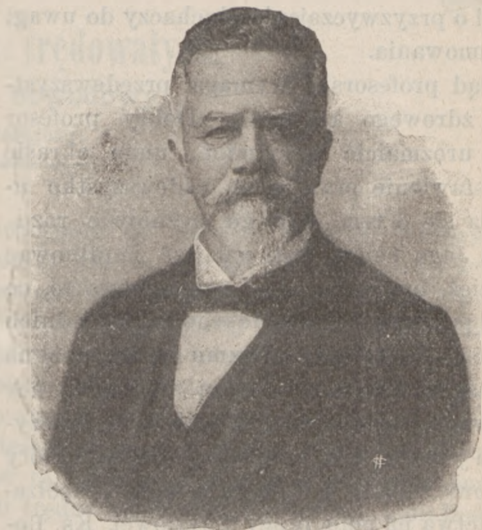
Kształcenie rozumu odbywać się powinno podług rozkładu systematycznego, w którym prawdy wywodzą się jedna z drugiej i stają się stopniowo coraz trudniejszemi do pojęcia. Tak sobie postępujemy z umiejętnościami ścisłemi: z arytmetyką, algebrą, fizyką, filozofią i t. d., jako też z naukami filologicznemi. Wiadomości gramatyczne początkowe, są przedsionkiem do gramatyki porównawczej i do literatury. Żadania stylistyczne, tłumaczenia, wzorowe lektury wyrabiają sąd dziecka, przyzwyczajają do zdrowego rozumowania, do dokładnego wyrażania myśli, nadają stylowi jasność i naturalność, wtajemniczają ucznia w sposób dobrego mówienia i dobrego pisania.

Oto cel rozkładu nauk w szkołach, w których tłumaczą autorów coraz to trudniejszych, bądź łacińskich, bądź greckich, od Korneliusza do Wergilego, Cycerona i Tacyta, od Lucyana i Ksenofonta do Sofoklesa, Platona i Demostenesa. Niestety w różnych państwach niestaranne programy egzaminowe paraliżują taki rozkład, zastępując stopniowe i pożyteczne kształcenie rozumu niezliczonemi wiadomościami natury encyklopedycznej. Kształcić rozum nie znaczy zapełniać go wiadomościami aż do przesytu i przytłumienia.

W sposobie nauczania, dodaje ks. dr. Barberis, uwzględniać powinniśmy nietylko sam przedmiot wykładany, lecz i zdolność i biegłość nauczającego.

Czynność nauczania podzielić można na stronę istotną i mechaniczną. Ostatnia obejmuje czytanie i pisanie, wszystkie inne części pracy nauczycielskiej stanowią rzeczywistą część ważnego zadania.

Wykład powinien być jasny i dlatego należy go zastosować do stopnia pojęcia uczniów; inaczej profesor byłby podobny do wołającego na puszczy. Wada to dość powszechna u uczonych bez wrodzonego daru profesorskiego. A jednak im profesor uczeńszy, im gruntowniej posiada naukę, tem jest jaśniejszy. Stądto wielki Azago mawiał, że w tem jego wielkość, że lekcyi astronomii udzielać może dwunastoletniemu dziecku. Prawdziwy nauczyciel porządkuje swój przedmiot i rozwija go stopniowo, w sposób logiczny, co właśnie stanowi podstawę jasności.



Senator Edward de Azevedo
(S. Paulo-Brazylia).

Sposób nauczania powinien być zastosowany do wykładanego przedmiotu. Inaczej wykładamy geometryę, a inaczej literaturę; sposób nauczania gramatyki nie przyniósłby należytego skutku, gdyby go zastosowano do geometryi. Ale co do formy sprowadzić możemy różne sposoby do trzech gatunków: t. j. do wykładowego, dyalogicznego i mieszanego. Wykładowy jest wtedy w użyciu, gdy profesor sam mówi, nie pyta słuchaczy, ani od nich nie jest pytany. Jestto sposób kaznodziejski i nadaje się do kursów uniwersyteckich.

Sposób dyalogiczny jest dwojaki. Albo profesor pyta ucznia, by go zniewolić do wysnucia prawdy z zasady oczywistej albo nabytej

*

już wiadomości i natenczas metoda nazywa się sokratyczną czyli analityczną; albotež przeciwnie pyta ucznia dla upewnienia się, czy rzecz zna, jakto bywa przy powtórkach i egzaminach, i ten sposób nazywamy katechizmowym czyli syntetycznym. Metoda mieszana obejmuje oba sposoby.

Metoda wykładowa może być skutecznie zastosowana, kiedy przemawiamy do osób wieku dojrzałego i do ludzi z przedmiotem już obeznanych. W szkołach z dziećmi i młodzieżą używa się zwykle sposobu katechizmowego, lub obok tego można się też z pomyślnym rezultatem posługiwać sposobem wykładowym; głównie wówczas, gdy nam chodzi o przyzwyczajenie słuchaczy do uwagi i rozumowania.

Urząd profesorski wymaga przedewszystkiem zdrowego rozsądku. Dobry profesor umie urozmaicić przedmiot, umie okrasić przedstawienie prawdy, a nadewszystko upewnia się o tem, czy go uczniowie rozumieją. Jego celem jest nauczać i pilnować młodzież, by rozumiała i zapamiętała to, co umieć powinna. Używa do tego odpowiednich środków. Kształcenie rozumu zasadza się na gimnastyce umysłowej, która wymaga pracy wytrwałej i uporczywej. Najlepszym nauczycielem jest ten, który najwięcej pracuje i który uczniów zapala do energicznego współzawodnictwa na polu pracy umysłowej. Ks. Bosko zalecał nieustannie pracę, ale żądał pracy chrześcijańskiej, pracy na chwałę Bożą i na pożytek ludzkości.

Pewnego razu opowiedział nam sen zastosowany do tego przedmiotu. — „Zdawało mi się,“ mówił, „żem był wśród wielkiego zgromadzenia szatanów. Lucyper siedział na tronie w otoczeniu innych dyabłów. Program posiedzenia był następujący: — *Co uczynić trzeba, żeby zniweczyć plany ks. Bosko odnoszące się do uświęcenia młodzieży tak licznie do jego szkół napływającej?* — Najrozmaitsze podano plany, jedne od drugich dziwaczniejsze. W ten występuje jeden z szatanów z taką przemową: „Trzeba zbogacić Salezyanów; kiedy się zbogacą, będą mniej pracowali, a zatem zmniejszą się i skutki ich działania.“ — Odrzucono tę myśl, bo powiedziano, że gdyby ks. Bosko miał pieniądze, jeszczeby więcej pobudował domów, a lekarstwo okazałoby się gorszem, niż sama choroba. — Inny twierdził, że synów ks. Bosko trzeba na złą droge wprowadzić, nasuwając im uciechy światowe. To okazywało się niemożliwem z powodu ich pobożności i zamiłowania pracy. Uczyniono jeszcze kilka innych wniosków, na które się jednak zgromadzenie niezgodziło. Wtem jakaś poczwara piekielna, krzywa i koślawa, o złośliwym i chytrym wzroku, wystąpiła z następującą radą: „Mam środek. Ks. Bosko jest zamiłowany w nauce i umiejętnościach, i dlatego właśnie szkoły jego kwitną, a młodzież się uświęca i zbawia. Niechaj się tylko jego synowie nadmą żądzą większej pracy, w celu uzyskania patentów, dyplomów akademickich i uniwersyteckich, a zdaje mi się, że dopniemy celu naszych pragnień. W domach salezyańskich poczną jeszcze więcej pracować i zaniedbywać pobożność; laureaci popadną w pychę, która się udzieli ich uczniom, a wówczas już nasza wygrana. — Prezydent skłonił się na znak zezwolenia, a całe zgromadzenie przyklasnęło mowcy. — W ten spostrzegają mnie dyabli, domyślają się, żem wszystko słyszał i uniesieni złością rzucają się na mnie, aby mnie zabić. W tem się ocknąłem.

Sen ten dał mi do zrozumienia, że Matka Boska pragnie, by w szkołach naszych kwitnęły nauki, ale nie chce, byśmy zaniedbywali pobożności; że należy pracować dla Boga, a dyplomy zostaną nam przydane.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)



MISYE SALEZYAŃSKIE

KOLUMBIA.

Dla nieszczęśliwych trędowatych.

Pierwszy lazaret obwodowy.

(List ks. Ewazego Rabagliati).

NAJCZCIGODNIEJSZY OJCZE,

Medellin, 30 stycznia 1903 r.

PRZYSŁOWIE, które mówi, że „człowiek myśli a Bóg kreśli", sprawdza się tu jak najzupełniej. Od blizko trzechmiesięcznego pobytu w tem mieście nie otrzymałem tego, co mi było powierzonem, otrzymałem tymczasem to, co Opatrzność Boża zezwoliła. Przysłał mnie tu ks. Albera na założenie dwóch domów, jednego dla Salezyan, drugiego dla Córek Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych, lecz z powodu wojny domowej, która trwała do wczoraj jeszcze a której następstwa pozostawią ślady po sobie zapewne na długie lata, nie było mi możebnem wykonać ani jednego ani drugiego zlecenia. Oczekując tymczasem usunięcia przeszkód wyżwymienionych, zajmuję się trędowatymi w tej dalekiej dzielnicy antyocheńskiej.

Co się tyczy trędowatych, którzy stanowić będą temat mego sprawozdania, mamy dwa pewniki. Pierwszym jest ten, że przed 40tu laty, według zdania wszystkich lekarzy doświadczonych w tej sprawie, w obwodzie antyocheńskim nie było ani jednego trędowatego; drugim ten, że dziś rozpowszechnionych gdziekolwiek w mniejszej lub większej ilości znajduje ich się nie mniej jak 500, może lub nawet 1000. Tych wiadomości zaczerpnąłem od samych lekarzy tutejszych, którym władza powierzyła zbadanie i zwalczanie tej strasznej plagi trądu. Nawet w przypuszczeniu najbardziej pobłażliwem, że liczba trędowatych tego obwodu nie przenosi pół tysiąca, stan rzeczy się nie zmienia, jeżeli się zważy na przeszłość i przyszłość. Czterdzieści lat temu nikt jeszcze nie był dotkniętym tą chorobą a dziś jest już przynajmniej 500 trędowatych. Wieleż innych osób będzie w przyszłem 40to leciu, jeżeli się nie przyłoży ręki do zwalczania tej choroby? Jeden jedyny trędowaty, który przybył tu przypadkowo z okolicy Santander, zarodku trądu w Kolumbii, w 40tu latach spowodował przynajmniej 500 a może 1000 zarażeń; jak wiele rozkrzewią ci 500 lub 1000 w innych 40tu latach, jeżeli będą oddani sami sobie, aby żyć, podróżować, pracować i czynić to co im się podoba, bez najmniejszej przeszkody w świecie?

Po sławnym kongresie, odbytym w Berlinie 1896 r., w którym brało udział jakie 120 leprologów zgromadzonych ze wszystkich stron świata, najlepszych powag w badaniu trądu; pozatem co uznało jednogłośnie owych 120 lekarzy a mianowicie, *że trąd będąc chorobą pasożytniczą, powinien się uważać jako zaraźliwym w najwyżnym stopniu, chociaż nie jest dziedzicznym,* pozatem mówię, niema na świecie lekarza, któryby poważył się twierdzić

a tem mniej nauczać, że trąd nie jest zaraźliwą chorobą. Iść w ślady innej teoryi, jak tej kongresu berlińskiego, byłoby to doprawdy szaleństwem.

Jeżeli zatem trąd jest ze swej natury bardzo zaraźliwym, ponieważ jest pasożytniczy, wynika z tego, że można go wykorzenić tam gdzie się rozszerzył, lub rozkrzewić jeżeli się go nie zwalcza. Przyczyną najgłówniejszą tego wielkiego i nader szybkiego postępu trądu w rzeczypospolitej Kolumbii znajduję w obojętności wielu, którzy aż do dzisiaj nie troszczą się wcale o tę chorobę mniemając, że jest nieszkodliwą, a obojętność ta pochodzi z przekonania aż nadto rozpowszechnionego, że trąd nie jest zaraźliwym. To przekonanie wzrosło z przyczyny wielu lekarzy także, którzy twierdzili publicznie, że trąd nie jest zaraźliwym. Lecz by być sprawiedliwym, przyznać muszę, iż ci zasługują choć trochę na uwzględnienie.

I zaprawdę wiele razy można zauważyć, że jakaś osoba zupełnie zdrowa żyje w lazarecie trędowatych rok, dwa, lub dziesięć bez zarażenia się; powiedziano przeto: „trąd nie jest zaraźliwym; gdyby był, jak wytłomaczyć sobie, że ten lub ów wyszedł zdrowy z lazaretu i pozostaje nadal takim?“ W niejednej rodzinie zauważono, że członek dotknięty trądem przez wiele lat nie zaraził nikogo z tych, z którymi żył w największej styczności: „Zatem nie pewnem jest, że trąd jest zaraźliwym; pokazuje się to aż nadto widocznie.“ Niestety takie twierdzenia ustalają objawy różnego rodzaju. Mamy setki zdrowych, którzy żyja w Agua de Dios zmieszani z tysiącem trędowatych i w wielu latach nie stwierdziło się ani jednego wypadku zarażenia. Od 10 lat i więcej, wielu Salezyan i Sióstr miłosierdzia jest na posługach tych chorych i dotychczas między tymi nie było ani jednego nieszczęścia; to samo dzieje się w Contratacion z innymi Salezyanami, którzy znajdują się tam od 6 lat z Córkami Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Doprawdy, że objawy te stwierdzają opinię przeciwników.

A jednak, pytam się, jak można wytłomaczyć sobie to wielkie rozpowszechnienie trądu, które dostrzega się coraz bardziej w Kolumbii, jeżeli nie wyjdziemy z założenia, że choroba ta jest rzeczywiście zaraźliwą? Mniema się, że nie jest dziedziczną, chociaż jest to nader dziwne i trudne do uwierzenia. Widziałem tysiąc razy dzieci kilkomiesięczne i kilkoletnie bez najmniejszego znaku choroby na ręku matek zupełnie trędowatych. Lecz zauważyłem również, że właśnie około 10go albo 12go roku dostrzega się u nich pierwsze zarodki choroby. Czasem i później nawet około 15go albo 20go roku, jak również czasem nie dostrzega się żadnych objawów. Bądź co bądź jest pewnem, że gdyby trąd był chorobą dziedziczną, trędowatemi powinnyby być także wszystkie dzieci, które na nieszczęście mają takich rodziców; ale rzecz się ma inaczej; dzieci trędowatych rodzą się zupełnie zdrowemi i w takim stanie pozostawają wiele lat; a jeżeli zachorują później, nie pochodzi to z oddziedziczenia, lecz z zarażenia. W tej kwestyi moje przekonanie jest głębokie, chociaż na każdym kroku spotykam fenomena, których dotąd nie mogłem rozwiązać ni ja, ni lekarze, ani uczeni. Fakt Ojca Damiana sławnego zakonnika belgijskiego, który zmarł na wyspie *Haway*, jest zbyt świeżo wyryty w pamięci, by go zapomnieć. Przez 10 lat obsługiwał on trędowatych bez najmniejszej ujmy w zdrowiu; po 10 latach objawiły się pierwsze zarodki trądu, które po 2 latach doprowadziły go do grobu. Nie wystarczyłoby to zajście, aby udowodnić dobitnie, że trąd jest chorobą rzeczywiście zaraźliwą, chociaż się nie wie, jak i kiedy zachodzi zaraza?

Co do mnie myślę, że w tym względzie najbardziej niebezpieczne a zarazem przekonawcze zajście jest tu w Kolumbii. Czytając statystykę tego państwa spostrzegłem, że na początku 19go wieku trędowatych było 92, prawie wszyscy w Santander. Dziś jest ich przynajmniej 30 tysięcy a może wiele więcej. Czyż nie trzeba być zupełnie zaślepionym, by twierdzić, że trąd nie jest zaraźliwym, mając przed oczyma zniszczenia, spustoszenia ogromne spowodowane tą chorobą i ofiary niezliczone, które padły i padają?

Te i wiele innych rzeczy wygłaszałem z kazalnicy tego wielkiego miasta, by wyzwolić naród ze złudzenia, w którem się znajduje. Przy uczestnictwie przedstawicieli władzy duchownej i świeckiej, lekarzy i wiele ludu miałem dwie konferencye o trądzie w Kolumbii. To wystarczyło, bym otrzymał pożądany skutek. Po pierwszej konferencyi Najprzew. ks. Arcybiskup kazał mnie przywołać do zakrystyi i mówi mi bez wszystkiego:

Zepsuł mi ksiądz zupełnie dobry humor, jakim się cieszyłem z powodu zawartego pokoju po trzechletniej wojnie. Rzeczy, które słyszałem, wzruszyły mnie do głębi; nie wiedziałem nic o tem wszystkiem, com dopiero słyszał z kazalnicy. O jak bardzo zagroziło już nam to zło! Biedna Kolumbia!“ Po drugiej konferencyi, odbytej wieczorem następnego dnia przed liczniejszą jeszcze publicznością, woła mnie powtórnie i pyta znowu: „Nie zostałby tu ksiądz chętnie z nami? Myślę, że praca jego wydałaby zaraz obfity plon. Sądzę, że wszyscy, tak władza jak i prywatni, są również gotowi tak jak ja do jakichkolwiek poświęceń, by zmniejszyć w części przynajmniej tę nieszczęsną chorobę, która grasuje między nami. Możnaby urządzić w Antyochyi pierwszy lazaret obwodowy i zebrać zaraz te 500 lub 1000 chorych. Lecz trzeba koniecznie pozostać tutaj, by kierować ruchem na tej drodze. Opinia jest dobrze przygotowana a entuzyazm powszechny; pieniędzy nie braknie, braknie jedynie ludzi. Jeżeli ksiądz wyjedzie, my wrócimy dumać nad brzegami przepaści, tak jak przedtem i może być, że gdy zbudzimy się po raz wtóry, zło tak już się rozszerzy, że będzie nieuleczalnem zupełnie. Jak myślę ja, myśli p. gubernator, tak myślą jego ministrzy i wszyscy jednosłownie. Niech się ksiądz zatrzyma, a wszystko się załatwi jak najprędzej.

— Nie mogę, nie mogę, była moja odpowiedź. Pozostawiłem bowiem w Agua de Dios i w Contratacion setki przyjaciół trędowatych w największych potrzebach i brakach; podczas tych trzech lat wojny żyli oni z jałmużny, którą uzbierałem w Bogotà i zasyłałem im co tydzień. Gdybym nie wrócił zaraz, jestem pewny, że wielu zmarłoby z głodu, a przedewszystkiem ci w Contratacion.

— Ma ksiądz słuszność, odrzekł Arcybiskup, życzy sobie doprawdy ich dobra, nie chce ich ksiądz opuścić teraz, gdy potrzebują tak bardzo jego pomocy. Lecz i my moglibyśmy dać księdzu zapomogę dla jego chorych; czy zostałby w takim razie?

— Lecz ja jestem zakonnikiem i nie mógłbym tego uczynić bez zezwolenia mych przełożonych z Turynu.

— O tem pomyślę ja, rzekł mi wtenczas, napiszę zaraz do ks. Rua, którego widziałem dwa razy we Włoszech podczas mych podróży do Rzymu i jestem przekonany, że pozwolenstwo przyjdzie; tymczasem biorę na siebie wszelką odpowiedzialność.

Wziąłem sobie czasu do rozwagi, ponieważ sprawa ta wydała mi się i trudną i nader ważną. Lecz później miałem tyle nalegań ze strony gubernatora, jego sekretarzy i wielu prywatnych, że wreszcie uległem prośbom. Zabrałem się tedy do napisania odezwy z gazetach prosząc o wspomogę na trędowatych w Agua de Dios i Contratacion; jeszcze nie upłynęło 15 dni, a już miałem 2 tysiące *pesos*, które przesłałem natychmiast do Bogotà dla rozdzielenia w równych częściach między dwa lazarety. Zaspokojony zupełnie o los naszych chorych i pewien, że przez kilka miesięcy będą mieli za co jeść, uczyniłem pierwsze kroki, by wyszukać odpowiednie miejsce do założenia szpitalu w pobliżu miasta i znalazłem takowe o $1^1/_2$ mili stąd. Zasięgłem rad akademii medycynalnej w stolicy i miałem jednogłośne uznanie z żywemi zachęceniami do dalszej pracy.

W kodeksie Kolumbii jest prawo zwane *de las mortuorias y donaciones entre vivos*. Na mocy tego prawa należy się tyle a tyle z tysiąca ze wszystkich zapisów lub danin za życia, by zamienić później te pieniądze na jakie publiczne dobro. Prawo to było ustanowione na rzecz niewolników i trwało aż do połowy zeszłego stulecia. Gdy zniesiono niewolnictwo, prawo to zmieniono na rzecz trędowatych a powiem lepiej, by walczyć przeciw trądowi, który groził coraz większem rozpowszechnieniem. Zatelegrafowałem zaraz do Bogotà do prezydenta rzeczypospolitej i do ministra, by wywiedzieć się czy, mając budować lazaret trędowatych mógłbym korzystać z prawa wyżwymienionego. Odpowiedziano mi zaraz przychylnie i wydano rozkaz do władzy, by mi wydała cały kapitał zawarty w kasie t. j. 108 tysięcy *pesos*. Prosiłem wtedy gubernatora, by raczył mianować grono osób zaufania z władzy świeckiej, którym powierzonoby te pieniądze i wszystkie inne, któreby m mógł otrzymać jako zapomogę a zarazem, by im było powierzone dzieło konstrukcyi lazaretu. Tak się też stało. Wziąłem dwóch inżynierów zdolnych do narysowania planów na wzór przywiezionych z Bogotà (na fotografii) i zatwierdzonych przez rząd i towarzystwo hygieniczne ze stolicy; za takiem zezwoleniem mogłem jedynie coś uczynić na drodze fabrykacyi szpitalów. Mając się tak

rzeczy, po utrzymaniu osobnego błogosławieństwa, udzielonego nam z całego serca przez ks. Arcybiskupa, udałem się 15go grudnia w towarzystwie pewnego dobrego pana, starego przyjaciela i znajomego z Bogotà, wprost z Medellina do Prowincyi Południowowschodniej, by zwiedzić tamtejszy naród i prosić o składki na pierwszy lazaret obwodowy.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEZ EKWATOR.

*(Ciąg dalszy).**

Jasper.

Po kolacyi nie obeszło się bez koncertu. Słychać parę piskliwych tonów i niebawem wchodzi do namiotu, szczypiąc gitarę, murzynek z Jamaiki, lat około 25ciu, średniego wzrostu, kędzierzawy, o błyszczących i ruchliwych oczach a z pod młodego wąsika ciągle uśmiechających się ustach. Zachęcony przychylnem skinieniem siada naprzeciw nas i rozpoczyna swe zadanie. Tony wychodzą z początku niewyraźnie, wolno, jakby konały. Natchnienie mistrza widocznie słabe, ale dopomaga sobie ruchem głowy i spojrzeniami zbyt czułemi, jak na tak obcych mu słuchaczy. Ten rodzaj muzyki musi tu jednak mieć wziętość, bo w pięciu minutach zapełnia się namiot brunatnemi twarzami i rozweselonemi oczami; sami to przyjaciele i rodacy muzykanta, którzy się chcą przypodobać nieznanym gościom. Zachęcają przeto koncertanta, aby się popisał nie tylko grą ale i głosem.

Ulegając naleganiom otwiera usta, ale z początku wydobywają się z nich tylko alkoholiczne wyziewy; powoli dopiero, jak gdyby miał do przezwyciężenia wielkie przeszkody, odchrząkując i spluwając z gracyą, wydaje tony urywane, niepewne, przechodzące w końcu w ochrypły śpiew, któremu towarzyszy, jakoby dla ironii, pełne czułości akcentowanie wyrazów. Wiersz był przełożony z angielskiego na zepsuty język hiszpański przez samego wykonawcę, czego dowodziło najlepiej namiętnie powtarzane recitativo: „*Lacrimas, lacrimas, palomba blanco!* Łzy, łzy, gołąbku biały!“

* Zob. n. 7, 1903 r.

Dla lepszego uwydatnienia sensu nastrajał odpowiednio całe swoje oblicze, to krasząc je nieuchwytnym uśmiechem, przyczem pokazywał dwa rzędy jasnych zębów, to obracając tak przerażająco oczyma, że mu aż białka na wierzch wychodziły. Po chwili znowu przymrużał je i głowę zwieszał smętnie nad strunami... Gdy ucichły oklaski, mistrz wypocząwszy trochę, rozpoczynał na nowo z wzrastającym ciągle zapałem.

Tymczasem ciemni towarzysze zbliżali się ku nam jeden za drugim, aby dobrze dosłyszeć wiersze. Zauważyliśmy, że byli to prawie sami protestanci, co u nich biedaków nie umiejących czytać Biblii znaczy tyle, co nie wyznawać żadnej religii. Wtedy to błysnęła nam myśl, ażeby tu raz jeszcze powrócić i do naszej świętej wiary ich pociągnąć.

Następowały nowe zwrotki i nowe oklaski. Ks. biskup rozdał medaliki, a najpiękniejszy srebrny wręczył *Jasperowi*, gdyż tak się nazywał nasz wirtuoz. Ten wszakże, jakoby nie był spostrzegł tego wyszczególnienia, zbliżył się do nas w chwili, gdyśmy już opuszczali hotel i szeptnął mi do ucha: „*Father give me money.*“

„Nie udawaj“, odrzekłem, „przypatrz się temu coś dostał.“

Zrozumiał i usiadł na ławce ze znakiem zadowolenia.

Wyszliśmy na dwór. Gwiazdy i dobry kapitan zaprowadziły nas, nie do Betleem wprawdzie, ale do obiecanego noclegu. A tymczasem sympatyczny Jasper ująwszy znowu w ręce swoją gitarę, jęczał dalej z patosem: „*Lagrimas, lagrimas, palomba blanco.*“

Nocą i rano. Domy rezerwowane dla dostojniejszych gości były to dwa pudła z kartonu pomazanego dziekciem, w kształcie sarkofagów, a mające w swym kulminacyjnym punkie dwa metry wysokości.

Weszliśmy do jednego z nich, podczas gdy kapitan, podnosząc w górę latarkę, wskazał nam dwa wiszące płócienne łoża, mówiąc: „Tu jesteście bezpieczni. Wszyscy moi żołnierze trzymają straż przed wami.“ W istocie w pobliżu był namiot, w którym spało z wyciągniętemi nogami piętnastu lub dwudziestu młodych policyantów. A zatem byliśmy bezpieczni i mogliśmy zasnąć spokojnie. Atoli nie potrzebowały koguty rozdzierać sobie swych gardzieli, aby nas ze snu pobudzić. Sen nasz bowiem uleciał od razu do gwiazd,

które przez różne otwory naszego pałacu widzieliśmy przeciągające nad nami, podczas gdy chłodny powiew naszej podnieconej wyobraźni fantastyczne napędzał historye.

Zimniejsza jeszcze woda rzeki przyjemną wywołała w nas reakcyę, gdy wczesnym rankiem przy świetle ostatnich księżycowych promieni poszliśmy się obmyć w jej nurtach. Następnie udaliśmy się do cnotliwego męża. Przed jego domem na placu, który z czasem będzie może rynkiem przyszłego miasteczka, jest obszerna sypialnia; na gołej ziemi, nie bacząc na zimno, legło tu do snu ze sto Indyan, którzy w swych podróżach lepszgo nie życzą sobie posłania. Wewnątrz, zewnątrz wszystko pogrążone w śnie. Ale my się już podejmujemy wstania. Ustawiwszy nasz przenośny ołtarzyk dla odprawienia mszy św., dzwonimy wokoło dzwonkiem i nie ubiegło kilka minut a lud już się był zgromadził. Odprawiamy mszę św., w czasie której niektórzy z murzynów starają się uczynić znak krzyża i ruszają wargami, naśladują innych odmawiających pacierze — ale trzeba się spieszyć, bo dzień krótki, czas uchodzi, a J. Biskupia Mość pragnie zjechać się czemprędzej z ks. Alberą. który w tych dniach ma stanąć w Cuenca z powrotem z Gualaquizy.

Zjadłszy coś naprędce, witawy nasze koniki, które nie są ani na tyle znakomite, ażeby im osobny poświęcić rozdział, ani na tyle nędzne, aby całkiem o nich zapomnieć, zwłaszcza gdy się zważy, że z takimi jeźdźcami nigdy nic do czynienia nie miały.

Żegnamy naszych przyjaciół, podczas gdy niektóre murzynki, zapewne katoliczki, sprawiają nam pociechę, podając nam dzieci, abyśmy im błogosławili, i mówiąc: „Dobry Ojcze! pobłogosławcie memu synkowi w górę i na dół.“

Jedziemy. — Biskup na przodzie, ja za nim, a w pewnej od nas odległości nasz przewodnik pieszo, jak zwykli czynić Indyanie, dopóki zmęczenie nie skłoni ich do uwieszenia się u ogona potulnego muła. Ale długo nie pozostawaliśmy sami. Połączył się z nami znienacka Marguez, alumn naszego instytutu z Cuenca, który wracając do swego rodzinnego miasta, chciał użyć naszej kompanii i swoją nas uraczyć. Przysłowie mówi: z jakim przestajesz, takim się stajesz. Co prawda nie szukaliśmy przygód. Ale rodzaj naszego rynsztunku skład naszej kawalkaty, a zwłaszcza nasz ubiór — Monsignore w stroju biskupim w butach, ja z angielską czapeczką na głowie — mogły nam sprowadzić niejedną i to taką, którąby warto opowiedzieć.

Stosownie do umowy, przewodnik miał nas zawieźć do Cuenchi, a stamtąd do Cañar. Ale zaledwie byliśmy na pierwszym skręcie, gdy nam nasz *arriero* oświadczył, że zna tylko jedną drogę, piękną, pewną, krótką, i że tą nas poprowadzi.

„Niech i tak będzie — bylebyśmy zajechali.“ Przebywszy kilka wzgórz po wąziutkich ścieżkach, ujechawszy w górę sto metrów a więcej niż drugie tyle na dół, przeszedłszy w bród kilka strumieni, nasz przewodnik cofa się nagle, blednie, wzdycha i łapie się za brzuch — przyczynę swojej biedy. Nie pomogły krople opiumowe i nacierania; kurcze wzmagały się ciągle, biedaczysko nie mógł się już ruszać. — Szczęściem dojrzeć było można kilka chat; poradziwszy mu więc, ażeby się do której z nich dowlekł i wypoczął, puściliśmy się dalej, szukając drogi pomiędzy zaroślami w nadziei, że nas później nasz przewodnik dopędzi.

Charakter przyrody zmieniał się w miarę jak pięliśmy się pod górę, lub też spuszczali się na dół po krętych dróżynach i pozostawiali za sobą brzegi tu kamieniste, tam gołe całkiem, tam lichą pokryte wegetacyą. Na przekór podróżnym, to dmuchal na nich zimny powiew z poblizkich lodowców, to ciepłem swem tchniem rozgrzewał tropikalny zefir. Scena zmieniała się co chwila, po zimnych i dzikich głazach następowały słoneczne stoki, po nich żyzne plantacye bananów i trzciny cukrowej.

Ale około południa ścieżyna stawała się coraz wilgniejszą wreszcie błotnistą — a wiodąc nas od zarośla do zarośla — dalej od gaju, do gaju wprowadziła nas wreszcie pod sklepienie lasu. Pogoda tymczasem ustąpiła miejsca lekkim oparom, które przechodzić zaczęły w gęstą mgłę, a z tej w drobny ale ciepły i przenikliwy deszcz. Mniejsza o kąpiel! Niechby to słońce tropikalne zabłysło, a wszystko wyschnie odrazu. Ale co gorsza drożyna tu i ówdzie urywała się nagle, nie wiedzieliśmy dokąd nas prowadzi, a stawała się coraz gorszą Błoto zamieniło się w bagno. Trzeba było spuszczać się po ślizkich stokach pokry-

tych to wielkimi, sterczącymi głazami, to usuwającymi się z pod nóg kamyczkami, grząską gliną, lub kałużami pełnemi mułu, w których konie musiały stąpać ostrożnie, ażeby nie potknąć się o tworzących się na ich dnie garby. Często ukazający się kawałek śnieżyny zniknął w świeżo utworzonej rozpadlinie. Właśnie po jednej z takich, stanęliśmy naprzeciw mostku zrobionego z niedbale spojonych ze sobą pni drzewnych. Obawiając się, aby nasze konie nie wpadły do której z licznych szczelin, postanowiliśmy przejść poprzek w bród. Ale natrafiliśmy na taką zaporę z nagromadzonych pniaków i gałęzi, że konie gmatwając się, chwiejąc i potykając, przewróciły się wreszcie wraz z jeźdźcami — Mój konik jako mnieszy prędzej zdołał się podnieść, ale szkapa biednego ks. biskupa przewróciło się na jego nogę tak, że ujrzał się ściśniętym pomiędzy mostem, brzegiem i koniem i z największym trudem obdarty i potłuczony zdołał się z tej pozycyi wydobyć. Podniosłszy konia pojechaliśmy dalej.

Oczekiwaliśmy nowych przeszkód. Wtem szczekanie psa i pianie koguta zwiastowały nam ludzka osadę. — Szczęściem to było dla nas. Będziemy się mogli wreszcie pokrzepić bo jest już godzina 1ª po południu, a tymczasem połączy się prawdopodobnie z nami nasz przewodnik.

Coyagchi. W istocie nieco dalej wjeżdżamy na otwarte miejsce, na którem widać dwie chaty; jedna zbudowana z pniaków nieociesanych i luźnych, kryta strzecha, musiała być domem mieszkalnym. Wokoło pole fasoli i ziemniaków, dalej małe pastwisko, znowu gai, przez który dojrzeć było można inne chaty. Po prawej stronie głęboka równina pokryta wielkim borem. Miejscowość ta zwie się Coyagchi.

Na odgłos szczekającego psa, z pierwszego zabudowania wyszedł chłopczyna około 8 lat z omazaną twarzyczką, z rozczochraną czupryną w koszulce, która kiedyś musiała być białą. Za nim ukazał się młody Indyanin lat może dwudziestu: miał wejrzenie idioty a na szyi ogromne wole. Wyjrzawszy schowali się nazad do chaty. Po chwili wyszła niewiasta mająca ten sam wygląd co tamci, a trzymająca przetak z kukurudzą. Przyjrzawszy nam się z zdziwieniem, ale jakimś rozumniejszym wzrokiem, położyła przetak i z pośpiechem pobiegła przywołać właścicieli drugiego zabudowania.

Była to młoda para, która nie dała długo czekać na siebie i zaprosiła nas, abyśmy zsiedli z koni. Tegośmy właśnie pragnęli. Na propozycyę ażebyśmy sie czemś pożywili, odrzekliśmy: „Tak tak! z wielką chęcią!“

Żona poszła prędko po najlepszą kołdrę — rozpostarła ją na ławeczce pod okapem, zapraszając ks. Biskupa, aby na niej wypoczął. —„Dzięki! ale nie zadajcie sobie wiele trudu, bo nie możemy się długo zatrzymywać. Spożyjemy posiłek i dalej w drogę.“

Gospodarze spojrzeli na siebie rozczarowani, a kobieta z przetakiem odezwało się: „Ale tak prędko tu nie można przysposobić. Tu, panowie, nic niema; Należałoby poczekać z pare godzin.“ — „To jedźmy dalej! dziękuję!“

—„A dokąd się udajecie zapytał mąż.“

„Dziś jeszcze musimy być w Cañar.“

—„Do Cañar nie przyjedziecie aż jutro rano, podróżując całą noc i to po jakich drogach! Chroń Was Boże od jakiego nieszczęścia!“

—„A dokąd możemy dojechać?“

—„Dokąd możecie dojechać? Jużeście dojechali, przewielebni Ojcowie. S ąd nie napotkacie o 7 mil ani jednego domu. Noc was zaskoczy w lesie, albo na stokach Kordylierów, gdzie zmarzniecie z zimna. Byłoby nieroztropnie jechać dalej. Posłuchajcie mię. Zostańcie u nas, choć to chata nie godna Waszej Biskupiej Mości. Damy Wam wszystko, co mamy. Spać będziecie na łóżkach, a my na ziemi.“

—„Tak, tak, dodała żona. Czy nie widzicie jaka szkaradna mgła dziś góry zasłania na kształt jakichś piekielnych wyziewów? A jak zimno będzie tej nocy!“

W istocie horyzont ścieśniał się coraz bardziej, a opary wodne snuły się po nim

coraz gęściej, aż wreszcie nadciągnęły ku nam i okryły nas ciemnościami.

Zniechęceni, przygnębieni, zdjęliśmy siodła, podczas gdy poczciwe kobiety krzątały się około przyrządzenia nam pożywienia.

„Zobaczcieno czy kury nie zniosły jakiego jaja; ale one właśnie lęgną wszystkie. — Ukręćcieno głowę temu kogutkowi, który tu mi robi taki zamęt. Prędko postawcie wodę na ogniu.“

„Słuchajcie kobiety! jeżeli nic nie macie w domu, to patrzcie na to pole fasoli zerwijcie garść strączków i ugotujcie. A ziemniaki! ręczę, że nam będą smakowały jak manna. W ostatecznym razie zerwiemy trochę ziół i zrobimy z nich sałatę.“

—„Już nam to zostawcie, przewielebny Ojcze! nie braknie ani tego ani owego.“

—„Ale tymczasem nie mielibyście nic do podania? Nie została wam łyżka zupy, albo odrobina gotowanej kukurudzy?“

—„Tak jest, trochę mamatygi ale zimnej.“

—„Pokażcieno — rozgrzejemy ją.“

I nie pytając wziąłem garnuszek, na dnie którego pozostało było trochę złocistego ziarna, z którego tu sporządzają coś nakształt włoskiej polenty. Zgniotłem trzy, czy cztery bez pomocy zębów — Monsignore chciał spróbować również, ale po trzecien ziarnku opuściła go ochota.

Krótka nauka apostolska, wystosowana do tych dobrych ludzi i brewiarz skróciły nam kilka godzin oczekiwanego posiłku. Z niewielkim zachodem przyrządzono stół, a z mniejszym jeszcze spożyliśmy kolacyę.

Zbliżała się noc. Potrzeba myśleć o jutrze. Przewodnika jak niema tak niema. Może już nie żyje? gdzież się podziały nasze pakunki i nasz przenośny ołtarzyk, któreśmy mu powierzyli? Nie opuści nas Opatrzność. Tymczasem przygotujemy sobie ołtarzyk na dworze. Obrusy, festony, lampy, pyszne świeczniki tego sobie nie można życzyć wśród lasu, w którym jaśnieje natomiast w całej pełni Majestat Boży. Potykając się wśród mgły idziemy do lasku. Przynosimy gałęzie najrzadszych krzewów i pęki barwnego kwiecia i ołtarz gotowy. Ścianami naszej świątyni to lasy — sklepieniem to niebo, które mamy nadzieję, że się wyjaśni; szmer strumyka zastąpi nam organy, a ptaki będą naszym chórem. W ciszy boru odmawiamy różaniec, oddajemy pokłon Królowej Nieba pozdrowieniem Anielskiem, śpiewamy „Gwiazdo Morza“ a potem udajemy się na spoczynek. Zorza przerywa nam nie tyle sen ile zimne dreszcze; wstajemy i oto przed nami wspaniały roztacza się obraz. Mgły pomknęły w dolinę — ze stóp naszych rzekłbyś olbrzymie morze, na powierzchni którego odzywają się pieśni i migocą światła lamp. Nad głowami naszemi niebo chłodnym rozpogodzone powiewem, na którym błyszczy jeszcze wspaniale kilka większych gwiazd. Na zachodzie księżyć rzuca na las swój ostatni srebrny uśmiech. A tymczasem wschodząca gwiazda dzienna śle na ziemię istny deszcz złota, purpury i mieniących się kamieni po przez warstwy eteru i nieba przeźroczyste, około stu osób z okolicy usiadło grupami na trawie i oczekuje mszy św. a potem sakr. bierzmowania. A przewodnik się nie zjawia. Już siódma, trzeba jechać dalej. Ks. biskup zwraca się z krótką przemową do ludu, zachęcając go do chrześcijańskiego życia. Już mamy zabierać się do odjazdu, gdy na widnokręgu pojawia się wreszcie upragniona postać. Arriero z obładowanym mułem i ołtarzem. Odprawiamy mszę św. Ks. biskup bierzmuje, a przyrzekłszy powrócić i z lepszym skutkiem pocieszyć te biedne dusze, żegnamy naszych gospodarzy, którzy za całą zapłatę proszą tylko o błogosławieństwo biskupie.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





KRONIKA SALEZYAŃSKA

EUROPA.

OŚWIĘCIM. — Wieczorek literacki z okazyi rozdawania nagród i uroczystość św. Jacka. — 1) Po 6 tygodniach niezwykłej ciszy i spokoju, zakład ks. Bosko w Oświęcimiu odżył na nowo w całej pełni duchem swego założyciela, gdyż wychowankowie z iście młodzieńczym zapałem wrócili do swoich nauk, aby dalej prowadzić rozpoczętą pracę nad własnem wykształceniem umysłowem i moralnem. W święto Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny zainaugurowano rok szkolny uroczystością rozdawania nagród tym z wychowanków, którzy ubiegłego roku odznaczyli się pilnością i dobrem prowadzeniem się. Liczne grono gości z pomiędzy duchowieństwa i stanu świeckiego zaszczyciło z tej okazyi zakład swoją obecnością. Na wstępie kapela zakładu odegrała marsz, poczem rozwinięto następujący program:

CZĘŚĆ I. — Poświęcona pamięci wielkiego Leona XIII. Omawiano zasługi tegoż Papieża względem całej ludzkości a szczególnie względem Polaków.

CZĘŚĆ II. — Popisy wychowanków z literatury.

CZĘŚĆ III. — Popisy wychowanków z dziejów ojczystych, mianowicie z epoki Jagiellonów.

CZĘŚĆ IV. — Rozdawanie nagród.

W przerwach wykonała kapela zakładu i chór śpiewacki kilka utworów muzycznych zastosowanych do okazyi.

Dyrektor zakładu ks. dr. Manassero podziękował zebranym gościom, za tak liczny udział a proboszcz z Oświęcimia przew. ks. kanonik Szałaśny, zakończył ten tak miły wieczorek, zachęcając wychowanków do wytrwałości na raz obranej drodze i podając im za wzór do naśladowania św. Stanisława Kostkę, który wszelkie podszepty świata i wszelkie pokusy szatana zwykł był odrzucać ulubionym swoim hasłem: *Ad majora natus sum.*

2) Nazajutrz w niedzielę 16 sierpnia obchodzili XX. Salezyanie w Oświęcimiu doroczną uroczystość św. Jacka, która i tą razą udała się bardzo dobrze. Tłumy ludu, mimo niepogody, zjechały na nią z Galicyi, z Górnego Śląska i z Królestwa Polskiego, co wymownie świadczy o wielkiem przywiązaniu narodu polskiego do dzieł ks. Bosko. Od godz. 5tej do sumy następowały jedna po drugiej Msze św., w czasie których wielu miało sposobność przystąpić do św. sakramentów Pokuty i Ołtarza. Około 10tej nadeszła procesya z kościoła parafialnego, prowadzona przez przew. ks. kanonika Szałaśnego. Sumę odprawił tenże ks. kanonik a wychowankowie zakładu z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej odśpiewali wcale poprawnie trzygłosową Mszę Tavoni'ego. Po Ewangelii wygłosił kazanie ks. Głębiński, proboszcz we Włosienicy na temat *jak dziwnym jest Bóg w świętych Swoich.* W kilku słowach opowiedziawszy żywot św. Jacka, czcigodny kaznodzieja zwrócił uwagę słuchaczy na trzy główne cnoty, jakie zdobiły św. Jacka, t. j. na wiarę, nadzieję i miłość, a porównując go z innymi świętymi zakonnikami, wykazał, jakto wszyscy, oparci na tych trzech cnotach wznosili kościoły, budowali klasztory, jakto ks. Bosko w Turynie, a jego synowie w Oświęcimiu budowali i budują zakład i świątynię, ponieważ znaleźli w narodzie wiarę, która jest podstawą, nadzieję, która jest ścianą i miłość, która jest pokryciem każdego budynku. Pełne namaszczenia kazanie zostało wysłuchane z głębokiem skupieniem mimo okropnego scisku i rozlicznych niewygód, na które słuchacze byli narażeni. Po sumie udzielono błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. O godz. 3ciej po południu odbyły

się uroczyste nieszpory, które również zakończono udzieleniem błogosławieństwa, poczem wszyscy pokrzepieni na duchu, wrócili do swoich domów.

Niejeden z obecnych na tej uroczystości, patrząc na opłakany stan, w jakim, mimo znacznego postępu dokonanego w tym roku, znajdują się jeszcze ruiny, wzdychał w duszy swojej, by czemprędzej pokryto te mury i doprowadzono do końca rozpoczęte dzieło, aby wreszcie, przybywając na to święte miejsce, swobodniej można się pomodlić i uprosić od Najśw. Wspomożycielki liczne łaski dla siebie i dla rodziny. To samo pragnienie mają i do tego samego celu zmierzają ze wszystkich sił swoich XX. Salezyanie, którzy atoli bez waszej pomocy, o przezacni Dobrodzieje, niczego dokonać nie mogą. Dlatego ponownie zwracają się do waszej ofiarności z usilną prośbą, by każdy ile możności wedle sił swoich, przyspieszyć raczył ten dzień, w którymby całe ruiny można na nowo oddać służbie Bożej. *Fiat!*

AMERYKA.

S. PAULO — Posiedzenie na wydziale prawodawczym Sejmu, Stanu S. Paulo. — Przedkładamy naszym czytelnikom część rozpraw, które toczyły się zeszłego roku na zebraniu członków wydziału prawodawczego. Błyszczy w nich szlachetna dusza Senatora p. Duarte de Azevedo, nie tylko jako katolika, ale także jako pomocnika salezyańskiego.

Po różnorodnych planach dotyczących wzniesienia domów poprawy, szkół przemysłowych i rolniczych dla małoletnich gwałcicieli prawa, p. Senator Duarte de Azevedo tak swe zapatrywania na piekącą potrzebę państwa wyraża.

P. Duarte de Azevedo. — Przyjmuję projekt i będę go przy głosowaniu popierał; ale jestem zdania, że coś lepszego dałoby się w tym względzie zrobić.

Sądzę, że osada poprawna dodatni wpływ wywrze na dorosłych zbrodniarzach; także małoletnim wybornie posłużą domy poprawy; atoli tak dla młodocianych żebraków, dla małych włóczęgów, i próżniaków, jak i dla dziatwy opuszczonej i nieraz wałęsającej się bez celu i zajęcia po ulicach sądzę, p. prezydencie, że dom poprawy nie jest najodpowiedniejszym przytułkiem.

P. Azequiel Ramos. — Szkoła wydziałowa lepsze wydaje owoce.

P. D. de Azevedo. — Głosuję za taką szkołą, bo będzie nowem ogniskiem oświaty, ale i ta szkoła mogłaby być zastąpiona lepszą. Panowie! na kongresie petersburskim poseł z Warszawy po zręcznem zestawieniu statystyk odezwał się w te słowa: „W mnożeniu się występków, nadmierną grozą przejmuje nas mnożenie się zbrodni wśród małoletnich."

P. Paulo Egydio. — To niestety prawda! Na nieszczęście tak się właśnie rzeczy mają.

P. D. de Azevedo. — Ale, jakaż tego przyczyna? zapytał się przenikliwy statysta.

P. Ezequiel de Ramos. — W Europie, nie zaś w Brazylii!

P. Duarte de Azevedo. — Takie rezultaty wydaje złe wychowanie; przyczyną jest to, że nie wychowuje się młodzieży w znajomości praw Bożych i przyrodzonych, których nawet rodzice nie znają. A jakie na to lekarstwo? Jedynie to, że w miejsce ciemnej i gorszącej władzy rodziców postawi się władzę oświeconą, przejętą miłością bliźniego, władzę która będzie w młodą duszę wpajała zasady chrześcijańsko-moralne.

P. Paulo Egydio. — Niezaprzeczenie byłby to jeden z najważniejszych czynników poprawy społecznej.

P. Duarte de Azevedo. — Bez tego nigdy nie posiądziemy skutecznych srodków rzeczywistej i istotnej reformy.

Gdy pewnego razu minister angielski, zwiedzał zakład księdza Bosko w niemałe zdziwienie wprawiło go stwierdzenie faktu, że można było utrzymać w karności i w największym spokoju przeszło 500 chłopaków zgromadzonych w jednej tylko sali. Zwrócił się tedy do wielkiego wychowawcy przeszłego wieku, do największego owego czasu pedagoga, którego dziełom sąd krytyków na wystawie paryskiej przyznał złoty medal, z pytatniem, czemby się to działo, jakimi środkami działał na chłopczyków, że tak zdumiewające osięgał rezultaty.

„Moim środkiem", odrzekł ks. Bosko, „którego zawsze skutecznie używałem, jest religia." „A czyż dla tej samej rzeczy nie posłużyłyby inne środki?" — „Nigdy w świecie," brzmiała odpowiedź, „uchylając się od sposobów, które podaje religia, trzeba chwytać za rózgę." — „Słusznie," odrzekł po chwili namysłu minister krolowej Wiktoryi, „albo wiara, albo kara! innej drogi niema!"

Otóż wiadomo, że w naszych szkołach nie uwzględnia się kar cielesnych a niemożna ich uwzględniać dlatego, że system naszego prawodawstwa na to nie pozwala; lecz w takim razie, cóż nam pozostaje? Pozostanie zaledwie władza rektora, nauczycieli, nadzorców, ale czyż to wystarczy? Z mej strony nigdy temu nie dam wiary.

Chcąc stworzyć jakieś dzieło skuteczne, założmy, p. Prezydencie, osadę karną dla starszych obieżyświatów, dom poprawy dla malców, którzy dopuścili się zbrodni włóczęgowstwa lub zbrodni pospolitych; ale dziatwę jeszcze niewinną opuszczoną, zaniedbaną, oddajmy troskliwej, miłościwej opiece opatrznościowych wychowawców zakonnych.

Bez tego nie utworzymy dzieła o pewnej i stałej korzyści. Jabym sobie życzył, aby szlachetni se-

natorowie, przejęci uczuciami patryotycznemi, zwiedzili zakład XX. Salezyanów.

P. Ezequiel Ramos. — Już miałem sposobność zwiedzenia go i podziwiałem jego ustrój wewnętrzny.

P. Paulo Egydio. — Jestto jedna z najlepszych instytucyi krajowych.

P. Almeida Noqueira. — Uznanie i świadectwo Pana Ezeq. Ramos wyklucza wszelką wątpliwość.

P. Cerqueira Cesar. — I ja zwiedziłem ten zakład.

P. Duarte de Azevedo. — Proszę usilnie, by to wszyscy uczynili. Nikt z panów nie będzie mógł lepiej korzystać z czasu.

Życzę sobie, byście Panowie niespodziewanie wstąpili do zakładu, żeby się nie myślało, że wysoka godność chce z siebie widowisko uczynić; a wszedłszy do warsztatów o niezwykłej porze, przekonacie się naocznie, że się tam drukuje, może najlepiej w całej Brazylii, że się oprawia księgi, że pracują stolarze, cieśle, krawcy szewcy z dokładnością i wprawą, jakiej każdy fachowiec mógłby im pozazdrościć. Proszę się przyglądnąć kowalom, slusarzom, zwiedzić odlewnie czcionek, może jedyną w stolicy, poinformować się o sposobie wychowywania w zakładzie, jak ci chłopczyki bezustannie są pod okiem przełożonego tak, iż nigdy niema sposobności do nieporządków; jak się bawią, z jaką ochotą oddają się różnego rodzaju rozrywkom na skinienie profesora. Proszę zwrócić baczną uwagę na poziom moralności w zakładzie i jestem pewien, że szlachetni senatorowie jednogłośnie przyznają, iż jest to na prawdę wielki, potężny i najskuteczniejszy system wychowywania.

P. Paulo Egydio. — To fakt!

P. Frederico Abranches. — Fakt nie zbity, bo niejednokrotnie stwierdzony.

P. Ezequiel Ramos. — Ach! ta instytucya wielkie oddaje usługi oświacie narodu.

P. Duarte de Azevedo. — Wsród naszego społeczeństwa jest zakład salezyański obok zakładu Doña Anna Rosa jedyną może szkołą przemysłową, bo takową nazwać nie można szkołą rzemieślniczą, którą mamy w Luz a którą zwiedzają młodzieńcy wyłącznie dorośli i to tylko w nocy. Tylko w zakładzie Doña Anna Rosa i w zakładzie XX. Salezyanów, i Krzysztofa Kolumba z wysiłków osobistych stwarza sie czynniki dla przyszłego dobrobytu społecznego. Mogę p. Prezydenta zapewnić, że często już wychodziły stamtąd dziesiątki młodzieńców wykształconych i przysposobionych tak do nauczycielstwa, jak i do innych życia społecznego zawodów.

P. Paulo Egydio. — Niektórzy z nich zajęli się buchalteryą i wzorowo prowadzą rejestry.

P. Duarte de Azevedo. — W ciągu trzech lat udzielono 24 dyplomy wyzwolenia na majstrów w różnych zawodach. Niejeden z tych majstrów był niegdyś dzieckiem pozbawionem wszelkiej opieki a obecnie zarabia po 16 do 20 koron dziennie. Wielu zaś z tych samych wychowanków jest zajętych w różnych biurach, inni sa kapelmistrzami, inni kompozytorami, inni malarzami, rzeźbiarzami i t. p. Któraż, pytam, która z instytucyi w S. Paulo erygowanych, może poszczycić się podobnymi owocami swej działalności?

. . . .

P. Duarte de Azevedo. — Ale proszę p. Prezydenta, w razie gdyby się Stan S. Paulo zdecydował na wzniesienie zakładu S. Serca P. Jezusa w samej stolicy, i w tym celu zadekretował subwencyę coroczną 10.000 koron do pobierania przez 5 lub 6 lat, czyż świętny senat może odgadnąć jakie stąd byłyby dla naszego ludu korzyści? Znaczyłoby to poprostu wznieść największy z dotychczasowych zakładów wychowawczych, jakie mieści w sobie cała Ameryka południowa; a przez to stałoby się możliwem pomieszczenie 800 chłopaków, z których $^{1}/_{3}$ mogłaby być zupełnie ubogą; przytem otworzyłby się eksternat dla 1000 przeszło chłopców i środowisko, dokąd wpływałaby dziatwa z wszystkich zaułków miasta.

Czy p. Prezydent wie, co to jest oratoryum świąteczne? Jest to miejsce zebrania się dziatek z różnych stron miasta; setkami się tam co niedzielę i w dni świąteczne dzieci te bawią, uczą się czytać i pisać, ćwiczą się w praktykach religijnych i w miłej odmianie zabaw, nauki i religii. Pod korzystnym wpływem wychowanków zakładu, prawie bezwiednie przejmują się szlachetnymi ideałami, zamiłowaniem do pracy, sumiennością w obowiązkach i wyrastają na uczciwych obywateli.

Mawiał ks. Bosko, że takie oratoryum świąteczne, to najpewniejszy środek do odrodzenia się moralnego całego miasta i całego społeczeństwa. I w samej rzeczy, p. prezydencie, gdy dzieci z ulicy, biorą się do godziwej zabawy i uczciwego zajęcia, gdy te dziatki przekonane o ważności przestrzegania moralności i religii, zawezwą innych licznych towarzyszów z nieznajomych zakątków i wyrwą ich z steku brudów, w których często żyją, którymi oddychają, i skłaniają ich do nowego życia, własnym przykładem zachęcają do gromadzenia się wokoło wytrawnych przewodników i dobroczyńców zakonnych, czyż p. Prezydent nie przyzna, że takie dzieło to środek najskuteczniejszy do podźwignięcia poziomu moralności wsród dzieci, opuszczonych, zaniedbanych, próżnujących, którym przez nowo projektowaną instytucyę chce się przyjść w pomoc i otworzyć dla nich skronisko?

P. Albuquerque Luis. — Należałoby z konieczności popierać określoną przez pana instytucyę, panie Duarte de Azevedo. Wnioskiem zażądano

wzniesienia nowej szkoły. Wniosek ten zasługuje na poparcie i z mej strony najchętniej za nim głosuję, bo jestem zapalonym zwolennikiem wszystkich szlachetnych pomysłów. Mimo siódmego krzyżyka czuję w sobie serce młodzieńca, bijące silnem tętnem dla wszelkiego rodzaju wzniosłych ideałów.

P. Paulo Egydio. — Brawo! Bardzo dobrze.

P. Duarte de Azevedo. — Jestem entuzyastą rozpowszechniania i mnożenia szkół i zakładów mających na celu kształcenie umysłu i serca. Najzupełniej zgadzam się na zdanie Wiktora Hugo, który powiedział, że jeżeli istnieje rzecz wstrętniejsza, nad obrzydzenie jakie sprawia widok ciała umierającego dla braku pokarmu, niezawodnie jest nią widok duszy usychającej dla braku oświecenia. Do tego stronnictwa zawsze należeć będę.

A gdy się rozchodzi o założenie nowej szkoły, to jakaż może zachodzić trudność w erygowaniu tej właśnie instytucyi i w skutecznem popieraniu jej subwencyami, aby mogła jak najprędzej stać się faktem dokonanym? Rząd będzie mógł zapewnić sobie w zakładzie miejsce dla 200 lub 300 chłopców biednych a gdy bez subwencyi zakład wychowuje 1000 chłopców to z naszą subwencyą liczba podniesie się do 2000 a przytem przez ściąganie młodzieży z wszystkich dzielnic miasta do oratoryów świątecznych, będzie można wychowywać niezliczone poprostu zastępy młodzieży

W takich warunkach państwo pod egydą etyki i religii, doczeka się odrodzenia pokoleń najmłodszych, które nas otaczają a które zamiast być podwaliną lepszego społeczeństwa psują się i gubią w zaułkach miasta wśrod brudów zgnilizny moralnej i w próżniactwie. Panie Prezydencie! ja kończę moje uwagi bo naprawdę doznaję zmęczenia. Już nie dla mnie tego rodzaju przemowy z trybuny parlamentarnéj; już dawno ulotniła się siła, która w młodzieńczym wieku niestrudzonym mnie czyniła.

Niech świetny Senat wybaczy jeżelim przypadkiem nabawił go nudów.

... Ale gdzietam!! (powszechne zapewnienia interesu).

... Tymczasem podnoszę moją gotowość do przyjmowania i popierania wszystkich patryotycznych zamiarów, które kiedykolwiek mogą się pojawić w tej wysokiej izbie w zakresie naszych spraw politycznych.

Głosy: „Brawo! bardzo dobrze! bardzo dobrze!“

Senatorzy powstają i z uniesieniem biorą w objęcia kolegę, składając mu dowody przyjaźni i poważania.

ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
MISYONARZA SALEZYAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IX.

Mianowany jest profesorem pierwszej klasy w Turynie — Udaje się w strony rodzinne — Budujące postępowanie — Apostolstwo — Pierwsza zdobycz — Zaczyna lekcye w szkole — Jasność i dokładność wykładu — Przykrości i zawody — *Esto vir* — Poświęcenie kościoła — Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych — Pobożność i sposoby, których używa, aby uczcić Maryę — Wspomnienie pięknej poezyi.

We wrześniu 1867 r. rodzina salezyańska, nie licząca jeszcze wielu członków, zgromadziła się na rekollekcye, około założyciela swego w Trofarello, wiosce leżącej w pobliżu Turynu. Młody kleryk Lasagna znajdował się tam także i to święte cwiczenia, któremi kierowali ks. Bosko i ks. Bana z Brescii, były mu wielce pomocne w osiągnięciu większej doskonałości zakonnej. Z zupełną obojętnością oczekiwał rozporządzenia przełożonych co do swego przyszłego losu i ze spokojem przyjął rozkaz udania się do Turynu na profesora pierwszej klasy gimnazyalnej. Byłby natychmiast objął nowe stanowisko, gdyby go sprawy rodzinne nie były zniewoliły prosić o pozwolenie pojechania z bratem do sioła, w którem obaj spędzili lata dziecinne. Pierwszy

co raz widzieli go współrodacy po obłóczynach i wszyscy podziwiali godność, z którą umiał nosić sutannę. Budował ich jeszcze więcej skupieniem i pobożnością w służeniu do Mszy św. i przyjmowaniu Kommunii św. Znalazł się jednak ktoś, któremu się suknia zakonna wydała niestosowna dla tego młodzieńca rosłego, znanego z żywych ruchów i zręczności w grach. Smiałek ów zbliżywszy się do niego z uprzejmnym uśmiechem, takie mu zadał pytanie: „Kiedyż wreszcie wyrzucisz na śmiecisko tę suknią, która ci zawadza na każdym kroku?” Młody kleryk odpowiedział mu wzrokiem surowym i pełnym pogardy.

Nie wystarczało mu już roztaczać zapach cnoty samym tylko dobrym przykładem. Prawdziwy syn ks. Bosko, który tak często powtarzał zdanie: *Da mihi animas* i który pożerany był tak gorącem pragnieniem zdobywania dusz Bogu, odczuwał także nieprzepartą chęć poświęcenia się dla zbawienia bliźnich. Gdziekolwiek spostrzegał, iż można było przeszkodzić złemu lub dopomódz do dobrego, tam pospieszał i wszelkich starań dokładał aby cel swój osiągnąć. W ciągu tych wakacyi zdawało mu się, iż odkrył oznaki rzeczywistego powołania zakonnego i kapłańskiego w jednym ze swych starszych przyjaciół, który już był odbył służbę wojskową; nie spoczął zatem, dopóki go nie namówił i nie nakłonił, aby wraz z nim pojechał do Turynu, gdzie skończywszy nauki młodzieniec ów został faktycznie księdzem i zakonnikiem salezyańskim. Jest to ks. Alojzy Porta, dyrektor oratoryum św. Franciszka Salezego w Pawii.

Tymczasem dnie upływały i nadeszła chwila objęcia powierzonych mu nowych obowiązków w kollegium turyńskiem. Ks. Bosko za przykładem innych wielkich mistrzów, uważał misyę nauczania jako wyborny i skuteczny środek do udoskonalenia i wykształcenia duchowego i umysłowego synów swoich. W samej rzeczy przez uczenie drugich rozjaśniają się i uzupełniają wiadomości nabyte, często nie dość dokładnie, na ławkach szkolnych; przytem według systemu ks. Bosko, młody Salezyanin okazać miał za pomocą ustnych wykładów miarę swojego uzdolnienia do wzniosłego posłannictwa, nałożonego nań przez zakon. Profesortwo ma być zazwyczaj dla niego szkołą apostolstwa, chociażby go później powołano na inne stanowiska, czy to w Europie czy na misyach zagranicznych. Dlatego też młody Lasagna, skończywszy kursa filozoficzne musiał sam wstąpić na katedrę nauczycielską.

Pierwsza klasa gimnazyalna słusznie uważana jest w oratoryum salezyańskiem za jedną z najważniejszych, a to ze względu na pilną baczność z jaką się nauczyciel, starać musi, aby wniej uczniowie na silnych podstawach oparli przyszłe nauki; jest zarazem jedną z najbardziej męczących z powodu wielkiej ilości uczniów. Młody nasz profesor wstąpił z zapałem i energią na to szerokie pole pracy, które mu wyznaczyła wola przełożonych. Jego sposób wykładania był tak jasny, iż słuchano go bez najmniejszego wytężenia, i tak przyjemnie, że godzina lekcyi upływała jakoby rekracya. Obfite i pocieszające zbierał owoce swej niezmordowanej gorliwości, lecz nie brakowało mu także różnych przykrości, zawodów i przeciwności. Życie codzienne nastręczało mu nie jedną sposobność do staczania ciężkich walk ze samym sobą; z powodu żywego usposobienia. Wystawiony na ciągłe obcowanie z bliźnim, nie zawsze potrafił dostatecznie się powściągnąć i znosić cierpliwie wady drugich. Dotąd znał tylko teoretyczną piękność wzniosłego posłannictwa nauczycielskiego; teraz doświadczać musiał licznych i wielkich trudności tego zawodu, i jak można było przewidzieć, po niezwykłym entuzyazmie nastąpiło najsmutniejsze zniechęcenie. Trudno powiedzieć do jakiego stopnia udręczone zostało wówczas czułe serce Alojzego, który byłby niechybnie zapadł na zdrowiu, gdyby ks. Bosko nie był mu pospieszył z pomocą i nie dodał odwagi. Opowiadał później jednemu z przyjaciół, że jakiś tajemniczy skutek sprawiały w nim słowa „*Esto vir*“ usłyszane od ukochanego Ojca i że wychodził zawsze z uczuciem ulgi i wzmocnienia tak duchowego jak i nawet fizycznego z ubogiego pokoiku, w którym go ks. Bosko tak serdecznie przyjmował. Trzeba też nadmienić, że w chwilach, kiedy dusza jego była najbardziej przygnieciona i rozbolała, nie szukał pociechy w próżnych skargach i rozmowach. Jeśli nie mógł wezbranych uczuć przelać w serce ojcowskie księdza Bosko, natenczas biegł rzucić się do stóp Najświętszej Panny, która nie zawiodła nigdy zaufania, jakie w Niej pokładał. W tym roku szcze-

gólna okoliczność przyczyniła się do tego, iż jego tak żywe nabożeństwo do Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, nabrało jeszcze większej gorącości.

Ks. Bosko, pragnąc gorąco przez Maryę wiele dusz Panu Jezusowi pozyskać, *ad Jesum per Mariam*, powziął śmiały zamiar wystawienia wspaniałej świątyni, dokąd, jak zapewniał w proroczem przewidywaniu przyszłości, tłumy chrześcijan miały zdążać ze wszyskich stron świata i w utrapieniach swoich szukać pomocy u Tej, Którą Kościół św. nazwał Wspomożeniem Wiernych. Piękny ten gmach, rozpoczęty w r. 1865, zbudowany został z szybkością, z której sobie prawie nikt sprawy nie zdawał. Zdumionym oczom mieszkańców Turynu ukazała się nagle majestatyczna kopuła, na której widniała wdzięczna postać Matki Bożej, błogosławiącej lud Swój, a równocześnie dowiedziano się z radością, że nowy kościół poświęcony będzie przez ks. arcybiskupa Riccardiego 9czerwca 1868 r. Niepojętą czynność rozwinął ks. Bosko w ciągu tych trzech lat, aby zebrać jałmużny na tak olbrzymie dzieło, lecz powiedzieć można, że do wzniesienia tego pomnika Swej czci i chwały, przyczyniła się więcej jeszcze sama Najświętsza Panna nieprzebranym skarbem łask swoich.

Jestto prawdą do tego stopnia, że ks. Bosko na czele książki swojej o Matce Boskiej, Wspomożenia Wiernych wypisał te słowa: „*Aedificavit sibi domum.* — Sama sobie dom wybudowała“ — a ksiądz biskup Gastaldi z Saluzzo, nie wahał się w ciągu uroczystej oktawy poświęcenia, wypowiedzieć kazania, w którem twierdził, iż każdy kamień tego kościoła przypomina jakąś szczególną łaskę lub cud Maryi. Nic więc dziwnego, iż w oratoryum wspaniała inauguracya nowej świątyni budziła wielkie zajęcie i że wsród młodzieży, wciąż była mowa o tylu doznanych łaskach i cudownych uzdrowieniach. Serce młodego naszego kleryka wzbierało radością na widok czci publicznie Najświętszej Pannie Wspomożycielce oddawanej i on ze swej strony dołożył wszelkich starań, aby w swoich uczniach rozbudzić uczucia pobożności i ufności względem Matki Bożej. Bardzo często w przemówieniach swoich z najżywszym zapałem wspominał o tej dobrej Matce i uczył słuchającą go młodzież, że zawsze winna pamiętać iż pracuje pod czujnem okiem Tej, którą zowią Stolicą Mądrości; dyktował i kazał chłopcom memorować najpiękniejsze wiersze włoskie o Najświętszej Pannie, a równocześnie zachęcał ich do ozdabiania Jej ołtarzyka, znajdującego się w klasie. Na jego własną duszę podziałały też niemało przykład ks. Bosko i piękne święta na cześć Maryi, pod wezwaniem Wspomożenia Wiernych, odprawiane, pobożność jego stracila zupełnie tę powierzchowność, która tak łatwo ludzi zraża, nabrała powagi, głębokości, a w życiu codziennym stała mu się pomocą niezmierną, gdyż w każdej chwili uciekał się do Matki Bożej i w gorącej modlitwie polecał jej swoje prace i troski. Zdawało się w tym roku szkolnym, iż cierpienia jego przeważały nad pociechami, bo coraz więcej cierni napotykał na swojej drodze z powodu złego zdrowia i różnych osób, z któremi zmuszony był przebywać; wzmogło się też wskutek tego nabożeństwo jego do Matki Boskiej Bolesnej i ze wzruszeniem powtarzał nieraz piękną zupełnie do jego uczuć zastosowaną poezyę Paravii. Jeżeli zatem młody Lasagna pomimo moralnego przygnębienia, w które popadł i fizycznej słabości, która może była skutkiem boleści wewnętrznych, zdołał wytrwać w powołaniu i z każdej walki wychodził zwycięsko, zawdzięczał to przedewszystkiem miłości swej do Matki Boskiej Wspomożycielki i nieograniczonemu zaufaniu, które okazywał względem ks. Bosko.

ROZDZIAŁ X.

Niezawodny znak wytrwania. — Śluby zakonne. — Wysłany jest dla poratowania zdrowia do kollegium w Lanzo. — Ukryta walka. — Nowe zajęcia i studya. — Zdrowy sąd o wyborze książek. — Piękna nauka pedagogiczna.

Wszystkie trudności i przeciwieństwa, któreśmy powyżej wyliczyli, zaskoczyły Alojzego Lasagnę w tym czasie, kiedy nie był wcale moralnie związany ze stowarzyszeniem Św. Franciszka Salezego. Być może, iż zły duch wiedząc, że nie wiele mu czasu już pozostaje, *sciens quia modicum tempus habet*, z podwójną zaciekłością usiłował sprowadzić go z tej drogi i przywrócić go światu. Ale Bóg, który nieskończoną mądrość swoją okazuje w szczególny sposób w właściwem oddzielaniu złego od dobrego, nie chciał aby chwilowy zapał był tą jedyną i decydującą siłą,

która młodego lewitę pociągnąć miała do życia składającego się z poświęcenia, umartwień i krzyżów, do życia tak przeciwnego wrodzonym skłonnościom ludzkim.

W ciągu tych dwóch lat zatem, wzrastając w pobożności, pokorze i zaparciu siebie, pojął Alojzy jasno i dokładnie, czem jest żywot Salezyanina, a jeśli go nie odstręczyły napotykane trudności, był to znak wyraźny, że z pomocą Bożą wytrwa w powołaniu swojem.

W poufnych rozmowach swoich z ks. Bosko wyjawił mu z dziecięcą otwartością swe słabości i przykre zwątpienia, które go napadały. Dobry Ojciec znając go na wylot i wiedząc, że na niego zupełnie liczyć może, uznał za stosowne przeciąć odrazu wszelką wątpliwość, wszelkie wahanie i chwycić, jak to mówią, dyabła za rogi, a to zapomocą profesyi zakonnej. Powiedział mu zatem stanowczo, aby się przygotował do złożenia ślubów świętych w zbliżającym się miesiącu wrześniu. Tak się też stało.

Dnia 19go września 1868 roku w skromnej kapliczce domu w Trofarello, nowicyusz Lasagna dostąpił szczęścia zupełnego poświęcenia się Bogu przez śluby zakonne, do których przygotował się rekollekcyami, kierowanemi przez samego ks. Bosko. Widział przed sobą innych młodzieńców, którzy z drżeniem zbliżali się do ołtarza dla złożenia ważnej przysięgi, słyszał ich wymawiających głosem tłumionym przez łkanie, formułę nieodwołalnego oddania się Bogu, wtedy dreszcz go przejmować zaczął, zwłaszcza na wspomnienie wielkich zobowiązań; które ta umowa z Bogiem zawarta na niego nałożyć miała. Lecz kiedy kolej jego nadeszła, znikła wszelka obawa i ofiarę swoją złożył z wielką odwagą i świętym zapałem. Opuszczając Trofarello z radością przepełniającą serce i jaśniejącą na twarzy, odnosił najsłodsze wspomnienia i niezłomne postanowienie walczenia ze złymi skłonnościami, które w ciągu ćwiczeń duchownych jeszcze lepiej w sobie rozpoznał. Przepisał też sobie specyalne środki na każdą ułomność i obiecał sobie odnieść całkowite zwycięstwo.

Z początkiem nowego roku szkolnego, młody nasz Salezyanin objął znowu swoje wykłady w kollegium turyńskiem. Pracował z nadmierną gorliwością, starając się, aby uczniowie jak największe czynili postępy i przemęczył się wkrótce do tego stopnia, że poważnie nadwerężył swoje zdrowie.

W grudniu tego samego roku, lekarz zażądał od przełożonych, aby go w celu uratowania jego życia zwolnili z obowiązków i wysłali do innego klimatu. Ks. Bosko, tak troskliwy o zdrowie swego drogiego syna przeznaczył go natychmiast do Św. Filipa Nereusza w Lanzo. Tamtejsze powietrze służyło mu bardzo, a dyrektor ks. Lemoyne najczulszą otaczał go opieką. Przybył do zakładu w chwili, kiedy już wszyscy mieli wyznaczone zajęcia, a gdy się trochę wzmocnił i bezczynnym pozostać nie chciał, musiał się zadowolić bardzo skromnym rodzajem pracy, dając w tem dowody wielkich postępów w cnocie pokory. Powierzono mu pilnowanie najmłodszych dzieci i młody nasz zakonnik zajmował się nimi nie tylko jako dozorca, lecz wszelkie oddawał im usługi. Czuwał nad nimi we dnie i w nocy, pomagał im nawet w ubieraniu się, a spełniał to wszysto z taką prostotą i miłością, że budował swoich braci. Nie myślimy jednak twierdzić; iżby w skrytości jego miłość własna nie staczała walki z posłuszeństwem; ale jeden tylko przyjaciel, któremu wedle zwyczaju odkrywał tajniki swej duszy, wiedział na jakie wysiłki musiał się zdobywać i co go kosztowało zwycięstwo nad sobą.

Tymczasem dyrektor pilnie baczył na nowego przybysza i przekonał się łatwo, że jego zdolności, przedsiębiorczość, a więcej jeszcze pobożność i wyrobienie wewnętrzne uczyniłyby zeń dzielnego pracownika. O ile mógł, usiłował rozwijać jeszcze w nim cnotę i wiedzę a przytem nie zaniedbywał żadnego środka, aby chwiejące się jego zdrowie naprawić. Ze swej strony Alojzy Lasagna, który już bardzo cenił ks. Lemoyna z tego wszystkiego, co był o nim poprzednio słyszał, znajdując się teraz pod jego kierunkiem, uczuł wyjątkowy ku niemu pociąg; przez czas swego pobytu w Lanzo pokochał go szczerze i nie miał przed nim żadnej tajemnicy. Każde życzenie przełożonego było dla Alojzego rozkazem, któremu natychmiast ulegał.

Szczęściem było także pracować w towarzystwie innych Salezyanów pełnych cnót i zasług, których starał się naśladować. Ci, ponieważ wielu z nich znało go z dawnych czasów koleżańskich, znosili cierpliwie jego charakter żywy i nieco gwałtowny, oszczędzając mu tym sposobem wiele przykrości, które gdzieindziej byłby napotkał. Dla tych i kilku innych powodów, miły uśmiech rozjaśnił

na nowo jego twarz i pozostał na niej nawet po śmierci. Rozmowa jego odzyskała dawną wesołość, która od dłuższego czasu zdawała się być przyćmioną i lata przepędzone w Lanzo uważał później śmiało za jedne z najpiękniejszych w życiu.

Alojzy Lasagna umiał korzystać ze spokoju, którego używał. Obrócił wolne chwile na powtórzenie sobie filozofii i chętnie podjął się przygotować dwóch młodych towarzyszy do egzaminu z tego przedmiotu. Spostrzegłszy, że zaniedbał trochę teologię, zabrał się do tej nauki z podwójną gorliwością pod kierunkiem swego znakomitego zwierzchnika. Dzięki bystrej i szerokiej intelligencyi, tworzył sobie najpierw ogólne pojęcie o gałęzi, którą zamierzał studyować, przechodząc następnie do szczegółowego badania każdej kwestyi. Nie zadawalał się powierzchownem obeznaniem się z przedmiotem, lecz dokładał wszelkiego trudu, aby go sobie przyswoić jasno i dokładnie. Świetne egzamina świadczą najlepiej o miłości z jaką się oddawał naukom kościelnym i o doskonałej metodzie, jakiej się w tej pracy trzymał. Od tej chwili również daje dowód dobrego smaku w wyborze książek; przekłada dzieła i autorów poważnych, czując wstręt do książek, których treść jest tylko stratą czasu, a może nawet zagraża wierze i obyczajom. Te wszystkie jego zalety nabrały podwójnej wagi, skoro powierzono mu naukę w najważniejszych klasach kollegium; prawo do objęcia tego stanowiska uzyskał po zdaniu egzaminów na uniwersytecie turyńskim. Zaznaczyć jeszcze trzeba, że w tej epoce życia młody nasz kleryk, miał wysokie pojęcie o zadaniu w sobie dość skromnem, lecz wielkiem i pełnem zasług wobec Boga, a mianowicie o pieczy nad najmłodszymi uczniami. Starsi księża zagrzewali go i popierali w tych myślach, a zapomocą żywej wiary i gorliwości w służbie Bożej doszedł wkrótce do przekonania, że nic nie może być milsze Sercu Jezusowemu, jak gdy się przez staranne pilnowanie przeszkodzi grzechom, przez któreby biedne dziecko to Najświętsze Serce zranić mogło. Kiedy później sam został przełożonym zachował te same zapatrywania i z wielkim zapałem mówił zawsze do swoich współbraci o stanowisku dozorcy nad dziatwą. Zaiste, piękna to nauka dla tych, którzy się zajmują wychowaniem młodzieży!

(Ciąg dalszy nastąpi).



PIERWSZE

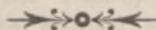
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział XXXV.

(Ciąg dalszy)*

Nazajutrz policya zachowała się jeszcze naganniej; przysłała bowiem do ks. Bosko jednego ze swych urzędników zapytując, czy zechce przebaczyć człowiekowi, który mu taką zniewagę wyrządził. Ksiądz Bosko odpowiedział, że jako chrześcijanin i jako kapłan przebacza tę zniewagę i wszystkie, jakich doznał w życiu swojem, lecz jako obywatel miasta i przełożony zakładu żąda w imię prawa, aby rząd zapewnił większe bezpieczeństwo jego osobie i domowi. I któżby uwierzył? Tegoż dnia niegodziwiec ów był wypuszczony na wolność i wieczorem czatował znowu w pobliżu Oratoryum, aby przy pierwszej sposobności spełnić swój krwawy zamiar.

Lecz cóż skłoniło nędznika do takiej zażartości? Pytanie to zajmowało nas wszystkich. Nakoniec komandor Dupré, przyjaciel i dobrodziej zakładu, postanowił wybawić nas z tego niebezpieczeństwa. Widząc, że na obronę policyi nie można wiele liczyć, zamierzył on rozmówić się z tym nieszczęśliwym, który dzień i noc trzymał nas w największej obawie. „Ktoś mi za to płaci,“ odpowiedział zagadnięty, „jeśli mi dacie tyle, ile od tamtych otrzymuję, to stąd odejdę.“

„Usłyszawszy to, szlachetny Pan wypłacił mu natychmiast 80 franków, jakie miał obiecane w nagrodę za popełnienie zbrodni, dodając jeszcze drugie 80 dla zapewnienia spokoju ks. Bosko. Tak się skończyła ta komedya, która się mogła niestety zamienić na krwawą tragedyę.

Niebezpieczniejszy jeszcze był inny zamach,,

* Zob. n. 7, 1903 r.

który tu mamy zamiar opisać, a w którym ks. Bosko nawet odniósł ranę, chociaż nieznaczną.

W krótkim czasie po opisanym wypadku, ks. Bosko był wezwany do wysłuchania spowiedzi ciężko chorej kobiety w domu *Sardi*, położonym prawie naprzeciwko Przytułku.

Widząc że już zmrok zapada, ksiądz zawołał dwóch chłopców, by mu towarzyszyli. „Ach proszę nie trudzić tych chłopców, ja sam odprowadzę księdza Dobrodzieja, zawołał wysłaniec chorej. Słowa te obudziły w księdzu jeszcze większe podejrzenie i sprawiły wręcz przeciwny skutek, bo ks. Bosko podwoił liczbę swych towarzyszów, biorąc ze sobą jeszcze Jacka Arnanda i Jakóba Cerrutiego, którzy się odznaczali nadzwyczajną siłą i zręcznością.

Przybywszy na miejsce, ks. Bosko zostawił dwóch chłopców na dole przy schodach, a dwaj wymienieni weszli z nim na pierwsze piętro i pozostali przy drzwiach pokoju. Ksiądz Bosko wszedł do mieszkania i spostrzegł na łóżku leżącą kobietę tak mizerną i jęczącą, iż patrząc na nią można było przysięgać, że jest konającą. Na ten widok ks. Bosko poprosił obecnych czworo ludzi, aby się oddalili, by mógł swobodnie wysłuchać spowiedzi i przygotować chorą na śmierć.

„Zanim zacznę spowiedź,“ zawołała nagle chora silnym i już nie jęczącym głosem — „chcę żeby ten zbój odwołał oszczerstwa, jakie rzucił na mnie.“ — „Nie,“ odpowiedział jeden z obecnych. — „Milczeć“ — zawołał drugi. — „Nie,“ — „Tak.“ — „Milcz, bo cię zaduszę!“ Podobne wykrzykniki i złorzeczenia posypały się gradem i zamieniły mieszkanie w jakiś przybytek piekielny. Wśród tego zamieszania zgaszono świecę i ks. Bosko usłyszał uderzenia kijów, skierowanych w to miejsce, gdzie on stał. Zrozumiał zaraz, że cała ta scena była przygotowana na to, by go z tego świata sprzątnąć. Nie widząc lepszego środka obrony, chwycił on krzesło stojące przy łóżku, i ukrywszy pod niem głowę, zaczął się cofać ku drzwiom. Kije uderzały coraz to częściej, lecz nie mogąc dosięgnąć głowy księdza Bosko, odbijały się z hałasem o krzesło. Na odgłos tych uderzeń, chłopcy czuwający pode drzwiami, otworzyli je i weszli, a ks. Bosko, z rzuciwszy z siebie krzesło, padł w ich ramiona, szczęśliwy, że i tą razą Pan Bóg zachował go przy życiu.

Otrzymał on jednak silny cios w wielki palec lewej ręki tak, że przyszedł do domu bez paznogcia i ze skórą do połowy palca obdartą.

W przeszło 30 lat po tem zajściu widzieliśmy jeszcze bliznę na tym palcu.

Zasadzając się na pewnych dowodach, możemy twierdzić, że przyczyną tych wszystkich podejść i zamachów był gniew wywołany przez książki— *Przyjaciel młodzieży—Przestroga dla katolików*, a szczególnie przez *Bibliotekę Katolicką*. Taki gniew owładnął nieprzyjaciół Kościoła św., że chcieli ks. Bosko albo zabić, albo przynajmniej na zawsze od pracy odstraszyć. Heretycy turyńscy w tym razie naśladowali wiernie swych przodków, którzy, aby zamilczeć o wielu innych morderstwach, zabili okrutnie dnia 9go kwietnia 1374 r. w Bricherasio błogosławionego Pawoniego da Sawigliano, Dominikanina, który w swych kazaniach zbijał ich zasady i nawrócił wielką ilość Waldensów na wiarę katolicką.

Rozdział XXXVI.

Historya o psie.— List ks. Bosko do De Sanctis, pastora waldensów. — Odpowiedź tego ostatniego.

Czytamy w Piśmie świętem i w historyi kościelnej, że nieraz P. Bóg raczył w sposób nadzwyczajny posługiwać się zwierzętami dla obrony swych sług, lub dla wyświadczenia im jakiej przysługi. Gdy prorok Elizeusz wyśmiewany był przez zgraję rozpustnych dzieci, dwa niedźwiedzie wypadły z pobliskiego lasu i za zuchwalstwo swoje dzieci zostały pożarte przez te dzikie zwierzęta. Przez 70 lat dostarczał kruk potrzebnego pożywienia, św. Pawłowi, pierwszemu mieszkańcowi pustymi; a gdy św. Antoni miał pogrzebać tego świętego pustelnika, a nie miał narzędzi do wykopania dołu, przybiegły dwa lwy i wygrzebały dół, a otrzymawszy błogosławieństwo od świętego, odeszły jak łagodne baranki. W tym tak niebezpiecznym czasie dla ks. Bosko, Opatrzność Boża raczyła mu też udzielić szczególnego stróża i obrońcę. Był to piękny, wielki szary pies, który był i będzie zapewne jeszcze na długie lata przedmiotem wielu roztrząsań i przypuszczeń. Kilku z chłopców widziało tego psa, dotykali się go, pieścili i opowiadali o nim wiele bardzo zajmujących faktów. Przytoczymy je tu według opowiadania najdawniejszych uczni naszego Oratoryum, a szczególnie według świadectwa Józefa Buzzetti'ego. Ks. Bosko zapytany nieraz przezemnie o niektóre z podanych tu okoliczności, potwierdził własnemi słowy ich autentyczność. Co do wielkości i kształtów szary podobny był on do psa owczarskiego. Nikt, a nawet ani ks. Bosko nie wiedział skąd przychodził i czy miał jakiego pana. Lecz jeśli mu nie mogę wystawić metryki urodzenia, to mu jednak mogę dać swiadectwo wiernej służby, bo przez kilka

lat był on dla ks. Bosko, a więc i dla Oratoryum i dla nas wszystkich, nadzwyczaj pożyteczny.

Ks. Bosko wiedząc o tem, że jest przedmiotem nienawiści heretyków i że ci knują szatańskie spiski na jego życie, chronił się zwykle przed zmrokiem do domu. Jednakże zdarzało się nieraz, że zmuszony był do późna zatrzymać się w mieście jużto przy chorym, jużto wśród osób uwiedzionych przez heretyków, a które miał nadzieję nawrócić. W takich razach ks. Bosko nie dbał już o swoją osobę, lecz pozostawał po za domem, póki obowiązek tego wymagał, a potem, chociaż już nieraz noc była, sam udawał się z powrotem do Valdocco. Ta część miasta była podówczas bardzo mało zaludniona. Ostatnim budynkiem ze strony naszego Oratoryum był dom obłąkanych, a gdzie teraz stoją rzędy wspaniałych kamienic, gdzie się obecnie krzyżują szerokie i dobrze oświetlone ulice, dawniej leżały odłogiem szerokie i nierówne pola, pokryte akacyami i krzewami, które po zapadnięciu zmroku sprzyjały napadom złoczyńców. Poważne niebezpieczeństwo groziło tam nocą każdemu przechodniowi, a szczególnie księdzu Bosko, którego nieprzyjaciele wiary tak namiętnie nienawidzili. Otóż gdy pewnego razu późnym wieczorem ks. Bosko wracał z pewną obawą do domu, ujrzał nagle ogromnego psa u swego boku. Przestraszył się w pierwszej chwili, lecz wkrótce się uspokoił, bo pies się nań nie rzucał, ale zaczął się łasić. Od tej chwili zawiązał się między nimi bardzo dobry stosunek, bo wierne zwierzę odprowadziło księdza do drzwi Oratoryum, a potem znikło. I nie tylko tą razą towarzyszył pies ten księdzu Bosko; lecz ile razy tenże zmuszony był wracać nocą do domu bez towarzysza, skoro tylko wychodził za miasto, *szary* zjawiał się z jednej, lub drugiej strony ulicy. Czasem mamusia Małgorzata ze względu na spóźnioną porę wysyłała którego z chłopców, którzy go nieraz spotykali idącego w towarzystwie czteronożnego stróża.

Pies ten, którego ks. Bosko nazywał *grigio* (*szary*), ocalił mu trzy razy życie. Jednego wieczora, powracał ks. Bosko późno do Oratoryum. Niebo było pokryte czarnemi chmurami. Gęsta mgła zalegała całą okolicę.

Aby się nie oddalać zbytnio od zamieszkanej części miasta, szedł drogą prowadzącą od Consolata do szpitala Cottolengo, gdy naraz spostrzegł, że dwie postacie idą ciągle w małej odległości przed nim, przyśpieszając lub zwalniając kroku w miarę tego, jak on szedł prędzej lub powolniej. Chcąc ich ominąć próbował iść drugim bokiem drogi, lecz i oni wnet udawali się w tymże kierunku, aby go ciągle mieć za sobą. Nie było już żadnej wątpliwości o ich złych zamiarach. Ks. Bosko dla uniknienia niebezpieczeństwa chciał się wrócić i wstąpić do najbliższego domu, lecz złoczyńcy to zauważyli, nadbiegli w jednej chwili, zastąpili mu drogę i zarzucili płaszcz na głowę.

Biedny ks. Bosko zaczął się rozpaczliwie bronić i chciał wołać o pomoc, ale mu chustką zatkano usta. Lecz właśnie w tej chwili, gdy zdawało się, że śmierć jego już nieunikniona, nadbiega *szary*, szczekając tak głośno i takim głosem, iż zdawał się nie rozjuszonym psem, nie głodnym wilkiem, ale niedźwiedziem rozwścieczonym, który przeraża i ogłusza. Przypadłszy jak niszczący grom, rzuca się z taką siłą na jednego ze zbójców, iż ten zmuszony jest puścić ks. Bosko dla ratowania własnego życia. W tejże chwili *szary* napada na drugiego, zanurza swe pazury i kły w ciele napastnika i obala go na ziemię. Pierwszy widząc taką odmianę sceny, chce się ratować ucieczką, lecz *szary* już w skoku, już zawisł u jego ramienia i wali go w błoto. Tego dokonawszy, stanął nad nimi i zaczął w przerażający sposób szczekać, jakby chciał powiedzieć: „Biada temu, który się ruszy!" Widząc tak niespodziany obrót rzeczy, nędznicy zaczęli prosić: „Księże, księże! niech ksiądz zawoła tego psa!" — „Dobrze, ja go zawołam — odpowiedział ks. Bosko, ale tylko, jeśli mi przyrzekniecie, że odtąd mi dacie święty spokój. „Dobrze, dobrze, już niech się Ksiądz nie boi, tylko żeby nas ten pies nie zagryzł." „*Szary!* — zawołał wtedy ks. Bosko — chodź tu!" Pies posłuszny na wołanie, przybiegł łasząc się do niego, a dwaj złoczyńcy zaczęli umykać co tchu! Pomimo tej niespodzianej obrony, ks. Bosko nie odważył się iść do Oratoryum; wstąpił więc do szpitala Cottolengo, położonego w pobliżu Oratoryum, aby wpierw ochłonąć z tego przestrachu. Przyjęto go z wielką uprzejmością, dano mu wzmacniającego napoju i pod dobrą strażą odprowadzono do domu.

Inną znowu nocą, gdy ks. Bosko wracał do domu ulicą Corso San Massimo, jakiś złoczyńca ukryty za drzewem wystrzelił do niego dwa razy z pistoletu, lecz oba razy chybił, i wtedy rzucił się na ks. Bosko, chcąc go w inny sposób zamordować. Atoli w tej chwili ukazał się *szary*, skoczył z wściekłością na napastnika, zmusił go do szalonej ucieczki, a potem odprowadził ks. Bosko aż do drzwi Oratoryum. Razu pewnego udało się *szaremu* obronić ks. Bosko nie tylko od jednego lub dwóch, ale od kilku zbrodniarzy. Późnym

wieczorem powracał ks. Bosko do Valdocco ulicą prowadzącą z pałacu Milano, dziś Emanuela Filiberta, do Rondo. Gdy już był prawie w połowie drogi, usłyszał spieszne kroki za sobą. Obejrzawszy się, zobaczył o kilka kroków od siebie jakiegoś draba z grubą pałką w ręku. Ks. Bosko zerwał się wtedy do biegu i znając dzielność swoich nóg, miał nadzieję, że mu się uda dolecieć do Oratoryum. Lecz gdy dobiegł do pochyłości, znajdującej się obecnie przed domem Delfino, spostrzegł w głębi zgraję ludzi uzbrojonych w kije i zagradzających mu drogę. To nowe niebezpieczeństwo nie odjęło mu jednak przytomności umysłu. „Trzeba się wpierw rozprawić z tym, który goni za mną, pomyślał sobie ks. Bosko. Napastnik był już tuż za nim, gotując się wymierzyć mu śmiertelny cios, ale ks. Bosko odwrócił się nagle i wymierzył przeciwnikowi tak szybko, zręcznie i silnie raz w brzuch, że biedak padł na ziemię wołając: „Ach, ach, jestem zabity!“ W ten sposób uwolnił ks. Bosko siebie od jednego zbója, ale kilku innych już się zbliżało z kijami w rękach, aby go otoczyć. I w tej chwili krytycznej zjawia się czworonożny opiekun ks. Bosko, staje obok niego, szczeka z wściekłością i z taką złością na nich się porywa, że nikt nie myśli zbliżyć się do księdza, ale błagając o wstrzymanie psa ratują się rozpaczliwą ucieczką. Pies odprowadził ks. Bosko do samego Oratoryum. Innego znowu dnia gdy ks. Bosko zamierzał wyjść do miasta, *szary* położył się na progu jego mieszkania i nie pozwolił mu wyjść z domu. Była to już zpóźniona pora, gdy ks. Bosko przypomniawszy sobie, że ma jeszcze coś do załatwienia w mieście, wziął kapelusz i kilku chłopców do towarzystwa i mimo odrad matusi Małgorzaty, zmierzył ku drzwiom. Lecz tu znalazł leżącego w progu psa. „O, jest *szary*. Tem lepiej, i on mi towarzyszyć będzie zawołał ks. Bosko, wstańże *szary*, pójdziemy.“ Lecz pies nie usłuchał i natomiast zaczął groźnie szczekać, zostając na swojem miejscu. Dwa razy próbował ks. Bosko wyjść, lecz *szary* oba razy go zatrzymał. Jeden z chłopcków trącił psa nogą, aby go zmusić wstać, ale *szary* odpowiedział odstraszającem szczekaniem. „Jeśli nie chcesz mnie usłuchać, rzekła matka Małgorzata, usłuchaj przynajmniej psa i zostań w domu.“ I ks. Bosko ulegając jej prośbom odłożył swoją wycieczkę do miasta na dzień jutrzejszy. Niespełna kwadrans po tem zajściu przyszedł jeden sąsiad, aby uprzedzić ks. Bosko, żeby nie wychodził z domu, ponieważ kilku ludzi krąży około Oratoryum, aby go zabić. Raz wieczorem ks. Bosko był na kolacyi w towarzystwie kilku księży i matki swojej, gdy *szary* wbiegł na nasz dziedziniec. Chłopcy, którzy go jeszcze nie znali, chcieli go wypędzić kijami, inni zaś zbierali kamienie, aby rzucać na niego, lecz Buzzetti zaraz powstrzymał ich wołając: „nie czyńcie mu nic złego, to jest pies ks. Bosko!“ Na te słowa wszyscy zbliżyli się do psa, a pieszcząc go i ciągnąc za uszy biegali z nim i bawili się, a na koniec zaprowadzili go do refektarza. Niespodziane zjawienie się psa w refektarzu przeraziło niektórych gości ks. Bosko. „To mój szary, wyrzekł wtedy ks. Bosko, puśćcie go do mnie, nie bójcie się!“ Pies uważnie oglądał wszystkich do koła stołu, a potem łasząc się przybiegł do ks. Bosko. Ten go pogłaskał i chciał go poczęstować jedzeniem: dał mu najpierw chleba, potem zupy, mięsa, a nawet wina, lecz pies nietylko nie jadł nic, ale nawet powąchać nie chciał; tak był bezinteresowny w swej wiernej służbie.“ Cóż więc chcesz?“ zapytał ks. Bosko. Na te słowa pies zaczął się łasić, machając ogonem. „Jeśli nie chcesz jeść ani pić, to bądź zdrów i wynoś się, powiedział ks. Bosko. Wtedy pies dając ciągle znaki zadowolenia, położył głowę na stole i patrzał bacznie na ks. Bosko jakby mu chciał powiedzieć: „Do widzenia.“ To uczyniwszy, wyszedł, a chłopcy towarzyszyli mu aż do bramy. Ks. Bosko dnia tego wrócił późno do domu. Markiz Dominik Fossati przywiózł go w swoim powozie. Przypuściliśmy więc że *szary* nie spotkawszy księdza w drodze, przyszedł do Oratoryum, aby mu tam okazać że, jak zwykle, wiernie go oczekiwał

W jesieni 1866 r. widział ks. Bosko swojego *szarego* po raz ostatni. Przebywając w Castelnuovo swem mieście rodzinnem miał z Murialdo iść do Moncuc, aby odwiedzić pana Alojzego Moglię. Lecz spotkawszy znajomych zatrzymał się z nimi na rozmowę i tak niespodzianie w drodze zaskoczyła go noc, a trzeba było przechodzić przez niebezpieczne miejsca i koło gospód, gdzie na straży stały zazwyczaj psy. „Ach gdybym tu miał mego *szarego*, onby mnie obronił!“ pomyślał sobie wówczas. Tajemniczy pies, jakby słysząc wezwanie ks. Bosko ukazał się w tej chwili na drodze i wesoło podskakując pobiegł do ks. Bosko i towarzyszył mu aż do celu podróży t. j. około trzech kilometrów drogi. I prawdziwie towarzysz ten był potrzebny ks. Bosko. Droga prowadziła obok gospodarstw, z których wyskoczyły dwa psy ogromnej wielkości i z głośnem szczekaniem biegły ku ks. Bosko, lecz *szary* w oka mgnieniu rzucił się na nich, zmusił do odwrotu i tak

dzielnie z nimi się rozprawił, że biedne psiska z głośnymi jękami uciekły do domu a wystraszeni gospodarze zaczęli z ciemnych obór głowy wychylać. Gdy ks. Bosko przybył do swojego przyjaciela, *szary* zwrócił na siebie powszechną uwagę, księdza Bosko zarzucono pytaniami, skąd dostał tak pięknego psa, czy go przywiózł z Turynu, czy z Castelnuovo, czy też z jakiej fermy. Po spożyciu posiłku p. Moglia pragnął nakarmić też i psa.

Wołano go, szukano po całym domu, lecz *szary* przepadł gdzieś i od tego czasu nikt go więcej nie widział. Wypadki tu przytoczone możnaby uważać za fantastyszny wymysł. Wolno każdemu trzymać się swego przekonania, lecz co do nas to po sumiennem, zbadaniu wszystkich okoliczności przystajemy do grona osób, które wierzą ,że Pan Bóg w swej dobroci nieskończonej chciał użyć tego zwierzęcia, które jest symbolem wierności, dla pomocy i obrony sługi swojego, który nie dbał o gniew nieprzyjaciół i życie swe wystawił na największe niebezpieczeństwa, aby zachować siebie samego, swych wychowańców i bliźnich w wierności, którą wszyscy winniśmy Bogu i Kościołowi.

Podczas gdy w Turynie przewrotni ludzie w rozmaite sekty i partye łączyli się w dążeniu ku jednemu wspólnemu celowi którym było sprzeciwienie się działaniu ks. Bosko, lub zgładzeniu go — ten ostatni zachował się względem swych nieprzyjaciół w sposób całkiem przeciwny. W listopadzie 1854 r. pastor Waldensów De Sanctis został usunięty z swego urzędu przez władzę kościoła waldenskiego, dnia 4 listopada dziennik sekciarski *La Luce Evangelica* ogłosił tę wiadomość w sposób dość rezolutny jak następuje: „Pan De Sanctis minister św. Ewangelii który przez dwa lata ewangelizował Turyn i cieszył się ogólnem poważaniem został nagle przez zarząd kościoła Waldensów złożony z urzędu. Ponieważ postanowienie to mogłoby zgorszyć obcych przybyszów (nie miejscowych mieszkańców, bo ci zbyt dobrze znają p. De Sanctis), redakcya dziennika *La Luce Evangelica* wzywa członków kościoła którzy się czują o tyle niezależnymi, że mogą wypowiadać swa zdania, aby zechcieli sumiennie jak przed Panem Bogiem każdy z nas sądzić powinien, czy pochwalają postanowienie czcigodnej władzy kościoła.“ Zawód ten. który tak głęboko dotknął De Sanctis'a, był dla niego prawdziwem wezwaniem Pana, nawołującem go do powrotu na drogę prawdy i na łono Kościoła katolickiego który on tak bezwstydnie był opuścił. Ks. Bosko, który z nim miał już kilka razy rozprawy religijne, podwoił teraz swe usiłowania, aby mu ułatwić drogę zbawienia. Biedak ten nie żył już samotnie, lecz w oślepieniu swem zawiązał świętokradzki związek małżeński, co bardziej jeszcze utrudniało działanie ks. Bosko, lecz gorliwy ten kapłan nie chciał nic zaniedbać dla pozyskania tej duszy zbłąkanej i podjął się nawet utrzymywania tej niby żony jego, byleby tylko pozyskać go dla Boga.

Pomiędzy papierami ks. Bosko znaleźliśmy kopię listu jego do De Sanctis i odpowiedź tego ostatniego, które uważamy za swój obowiązek przytoczyć tu w całości.

Turyn-Valdocco, 17 listopada 1854.

Wielmożny Panie,

Od dawna już mam zamiar pisać do Pana Dobrodzieja, aby mu wynurzyć szczere pragnienie pomówienia z Panem i ofiarowania mu wszystkiego, na co tylko przyjaźń prawdziwa zdobyć się może. Te przyjazne dla pana uczucia powstały w sercu mem, gdy czytałem wydane przez niego dzieła. Zastanawiając się uważnie nad niemi nie mogłem niedostrzedz, że serce pana i umysł pełne są niepokuju. Obecnie dowiedziałem się z dzienników że Pan już zerwał stosunki z Waldensami, więc teraz proszę aby Pan zechciał przyjść do mnie skoro to tylko Pan będzie uważał za stosowne: Zapyta pan może: „Cóż tam będę robił?“ Co Pan Bóg natchnie. Będzie Pan miał pokój do rozporządzenia a ze mną będzie Pan dzielił skromny posiłek. I tak będziemy wspólnie używali posiłku ciała i duszy. Nie potrzebuję już nawet uprzedzać, że Pan nie będzie miał potrzeby robić żadnych wydatków.

Szczęśliwym się czuję mogę ze szczerego serca dziś wyrazić uczucia moje dla Wielmożnego Pana, gdyby pan wiedział jak serdeczną i prawdziwą jest przyjaźń moja z pewnością przychyliłby się do pragnienia mojego, zrozumiałby uczucia jakie dyktowały te słowa i wzajemnością odpowiedziałby na nie. Oby Pan Bóg wysłuchał modlitwy mej i raczył uczynić z nas jedno serce i jedną duszę i kiedyś przypuścił nas do udziału w nagrodzie, którą zgotował dla tych, którzy życie poświęcili na Jego wierną służbę.

Szczery przyjaciel w Chrystusie Panu
ks. Jan Bosko.

List ten poruszył najczulsze struny w sercu pastora De Sanctis, który nadesłał zaraz następującą odpowiedź.

Turyn, S. Salvario, via de' Fiori, nº 1.

Czcigodny Księże!

Sądzę że Ksiądz nigdy nie zdoła sobie wyobrazić jakie wrażenie sprawił na mnie wczo-

rajrzy list Księdza. Nigdy się nie spodziewałem znaleźć na polu walki religijnej tyle wspaniałomyślności i miłości w człowieku, który się jawnie okazywał moim przeciwnikiem. Nie mamy sobie co ukrywać. Ksiądz zbijasz moje zasady tak, jak ja zbijam Księdza. Lecz chociaż Ksiądz walczy przeciwko mnie, to jednak w chwili gdy widzi mnie zasmuconym, daje mi dowody prawdziwej miłości i wyciąga ku mnie wspaniałomyślną dłon. Widzę, że co inni umieją tylko pięknie ogłaszać w teoryi, Ksiądz potrafi pokazać też i w czynie. Oby Bóg dał żeby i towarzysze Księdza zajęci w wydawnictwie czasopisma *Campanone* naśladowali tę miłość. Oni nie umieją mówić bez pogardy i obracania w śmieszność rzeczy najpoważniejszych. Co do odpowiedzi na list Księdza to szczerze mówię, że ofiarę przyjaźni przyjmuję, jako dar drogocenny i pragnę znaleźć sposobność któraby mi pozwoliła bez zaniepokojenia sumienia okazać Księdzu, jak go kocham nietylko w słowach, lecz także w czynie i w prawdzie. Dla wielu przyczyn nie mogę jeszcze dziś przyjąć wielkodusznej ofiary Księdza, lecz głębokie wrażenie, jakie ona sprawiła na mojem sercu nie łatwo da się zatrzeć. Tymczasem módlmy się jeden za drugiego, abyśmy mogli kiedyś być razem na wieki przed tronem Boga i wspólnie mu śpiewać hymn odkupionych krwią Baranka.

Z głębokim szacunkiem

zostaję oddanym sługą i przyjacielem

LUDWIK DE SANCTIS.

De Sanctis byłby sobie zapewnił wielkie szczęście gdyby od razu był usłuchał rady ks. Bosko i zerwał hańbiące go stosunki. Lecz biedak zatkał uszy na głos z nieba, bo poprzestał na tem że podziękował ks. Bosko a potem ogłosił w dzinniku *La Luce Evangelica* te słowa: „Podczas gdy Waldensi obchodzą, się z p. De Sanctis w wiadomy sposób, ksiądz katolicki Jan Bosko, napisał do niego list pełen miłości i uprzejmości zapraszając go, aby przybył do niego i podzielił się jego posiłkiem i mieszkaniem. Cześć Temu kto na nią zasłużył!"

Ten wspaniałomyślny uczynek ks. Bosko względem jednego z największych jego przeciwników nawiedzonego nieszczęściem, uśmierzył uiejako gniew nieprzyjaciół. Od tego czasu heretycy już nie uciekali się do gwałtów i zamachów, lecz zadowalali się honorową walką na polu literackiem.

Rozdział XXXVII.

Cholera. — Jej pojawienie się w Turynie. — Piękny czyn rady miejskiej. — Dobry Pasterz. — Pamiętne słowa. — Odwaga młodych wychowanków. — Synowie godni ojca. — Zastosowana do okoliczności nauka. — Chłopcy pielęgnują chorych. — Pożyteczna przysługa. — Obrus służy za prześcieradło. — Pochwała publiczna.

W roku 1854 kilka prowincyi włoskich dotkniętych zostało straszną klęską. Śmiertelna choroba, zwana cholerą, pochodząca z Indyi, gdzie niemal ustawicznie panuje, przeniknęła do Europy, a przebiegłszy kilka krajów, wtargnęła na półwysep Apeniński i grasować zaczęła w Piemoncie i Liguryi. W lipcu tegoż roku w samej Genui umarło przeszło 3000 osób na straszną zarazę.

Straszne były objawy tej azyatyckiej choroby i przerażały najśmielszych ludzi. Okropne boleści rozdzierały wnętrzności. Oczy chorych zapadały, okrążone czarnym prawie pierścieniem, traciły blask naturalny i nabierały smętnego wyrazu. Nos się wyciągał, twarz chudła i zmieniała się do niepoznania. Język biały i zimny. Głos przytłumiony, mowa prawie niezrozumiała. Całe ciało siniało, czasem pokrywało się zielonkowatą barwą, a przytem było zimne jak trup. Niektórzy, niespodzianie zaskoczeni chorobą, padali jakby tknięci apopleksyą. Inni zaś żyli zaledwo kilka godzin; bywało, że niektórzy męczyli się przez całą dobę, ale to bardzo rzadkie wypadki. Pierwsze dni klęski były najstraszniejsze; ile było osób dotkniętych chorobą, tyle nastąpiło wypadków śmierci. A chociaż zaczęto już stosować rozmaite środki zaradcze, to jednak zawsze na stu chorych 60 umierało. Ze wszystkich do tego czasu znanych chorób, tylko tak zwane morowe powietrze wyrównać mogło tej strasznej zarazie. Dżuma nawet, chociaż się zbliża do niej ilością ofiar, jest jednak o tyle łagodniejsza, że ich nie porywa tak nagle. Można więc sobie wyobrazić, jaka panika ogarnęła wszystkich mieszkańców, tem bardziej, że każdy wiedział, iż ta mordercza choroba jest bardzo zaraźliwa. Działalność lekarska była bardzo utrudniona, ponieważ rozsiano wśród ludu pogłoski, że lekarze, zamiast środków mogących usunąć chorobę, zadają jej ofiarom truciznę zwa-

ną *Acquetta*, aby przyśpieszając ich śmierć, zmniejszyć zakres zarazy.

Przestrach doszedł do tego stopnia, że handel w mieście ustał; wszystkie sklepy pozamykano. Kto tylko mógł, starał się opuścić nieszczęśliwe miasto. Kiedy w jakim domu kto zapadał na cholerę, sąsiedzi wyprowadzali się natychmiast z mieszkań, a często się zdarzało, że i najbliżsi krewni opuszczali zarażonego, zostawiając go bez opieki i pomocy. Trzeba było osób miłosiernych i odważnych, któreby się podjęły pielęgnowania chorych, lecz takich, miestety, było mało. Zdarzało się, że osoby zajmujące się grzebaniem zmarłych musiały wchodzić przez okno lub wyłamywać drzwi mieszkania, aby się dostać do trupa, zarażającego powietrze nieznośnym fetorem. Słowem, odnowiły się czasy strasznego powietrza morowego.

Cholera jak nieprzyjaciel ośmielony popłochem swych przeciwników, posuwała się z wioski do wioski, z miasta do miasta, zadając ludności olbrzymie klęski. Nawet miejscowości o najzdrowszem powietrzu nie były oszczędzone. Dnia 30 lipca straszny ten bicz zszedł z Apeninów i ukazał się na terytoryum turyńskiem. W pierwszych dniach sierpnia uległo chorobie kilka osób na przedmieściu.

Przy pierwszem ukazaniu się zarazy municypalność miasta dała mieszkańcom piękny przykład pobożności. Burmistrz Turynu p. Notta nakazał, aby były przedsięwzięte wszelkie środki zaradcze, mogące powstrzymać szerzenie się choroby, lecz równocześnie zalecił, aby wszyscy wzywali opieki Królowej Nieba, której przemożna opieka tak wiele razy w podobnych wypadkach skuteczną się okazała. Tenże burmistrz polecił, aby w świątyni Matki Boskiej Pocieszycielki odprawione było w tej intencyi nabożeństwo, które się istotnie odbyło dnia 3go sierpnia w obecności deputacyi rady miejskiej i niezliczonych tłumów ludu. Matka Boska nie odrzuciła pobożnych modłów, bo istotnie w Turynie, w porównaniu z innemi miastami, daleko mniej było wypadków śmierci.

Jednakże z początku było po 7 ofiar dziennie, a powoli liczba ich wzrastała do 10, 20, a nawet 50 i 60. Od pierwszego sierpnia do 1go listopada w mieście, na przedmieściach i w okolicach Turynu zachorowało 2500 osób, a umarło 1400. Najbardziej nawiedzoną częścią miasta było Valdocco. W samej parafii Borgo Dora było przynajmniej 800 wypadków choroby a 500 śmierci.

Kilka rodzin, mieszkających obok naszego zakładu, wymarło do szczętu. Lecz cóż się działo w Oratoryum św. Franciszka Salezego, podczas gdy w mieście tak straszna grasowała zaraza, gdy nawet odważni tracili głowę i nadzieję?

Opowiemy to w krótkości:

Na pierwszą wiadomość o pojawieniu się w mieście choroby, ks. Bosko zachował się względem swych chłopców, jak kochający ojciec i jak czujny pasterz. Aby nie kusić, że tak powiem, Boga, użył on wszelkich środków, jakie wskazać mogła roztropność i sztuka lekarska. Narażając się więc na ogromne wydatki, kazał obielić na nowo i oczyścić cały dom, pomnożyć ilość sypialni, aby w jednym pokoju nie spało zbyt wiele osób, i dawać lepsze pożywienie. Lecz nie poprzestając na środkach podanych przez przezorność rozumu ludzkiego, polegał on raczej na wskazówkach płynących z wiary. Dowiedzieliśmy się od wiarygodnej osoby, że od pierwszego dnia niebezpieczeństwa, codziennie leżał krzyżem przed ołtarzem i wołał do Pana: „Mój Boże, uderz pasterza, lecz oszczędź młodą trzódkę!“ A potem zwracając się do Matki Najświętszej błagał ją temi słowy: „O Maryo! Ty jesteś Matką kochającą i wszechmocną, ach, ochroń, błagam Cię, Twych synów ukochanych, a jeśli Panu podoba się wziąć z pośród nas ofiarę, to ja gotów jestem umrzeć, kiedy On chce i jak Jemu się podoba.“ Tak dobry ojciec ofiarował swe życie za swe dzieci.

Dnia 5 sierpnia, w dzień Matki Boskiej Śnieżnej, było to w sobotę, ksiądz Bosko zwołał swą młodzież wieczorem i miał przemowę, która nigdy nie zdoła zatrzeć się w naszej pamięci. „Jak wam już wiadomo, tak zaczął mówić, w Turynie wybuchła cholera i stwierdzono już kilka wypadków śmierci. Wieść ta przeraża wiele osób w mieście, a już i niektórzy z was podobno poddają się obawie. Otóż chcę wam właśnie dzisiaj udzielić w tym względzie kilka rad praktycznych i zapewniam was, że jeśli się do nich zastosujecie, to unikniecie tej strasznej zarazy. Najpierw, należy pamiętać, że choroba ta nie jest wcale nowiną dla świata. Już w Piśmie św. jest o niej wzmianka, a Pan Bóg przedkłada nam nawet przyczyny, które ją wywo-

łują. Zbytek w jedzeniu, mówi Eklezyastyk, sprawia chorobę, a obżarstwo sprowadza cholerę. *In multis escis erit infirmitas, et aviditas appropinquabit ad choleram* (Ekl. XXXVII, 33). Pan Bóg wyjawiając nam przyczyny strasznej choroby, podaje również i rady do jej uniknięcia. Bądź wstrzemięźliwy i z umiarkowaniem używaj potraw, które ci podają. Trochę wina wystarczy dla człowieka dobrze wychowanego. Potem wylicza Pan środki najskuteczniejsze, bo mówi: „Unikajcie grzechu, poprawcie wasze postępowanie, oczyście serca ze wszystkich błędów.“ „Oto, drogie dzieci, środki, które i ja wam podaje w tym celu, abyście cholery uniknęły. To samo prawie przepisują też i lekarze, którzy radzą wstrzemięźliwość, umiarkowanie, spokój i odwagę, lecz jakże może mieć spokój i odwagę ten, któremu grzech śmiertelny na sumieniu ciąży? który żyje w niezgodzie z Bogiem i dręczony jest myślą, że go po śmierci niechybnie czeka piekło? „Pragnę abyśmy dusze nasze i ciało złożyli w ręce Maryi. Cholera może się również udzielić z przyczyn naturalnych, wskutek oddychania powietrzem napełnionem zarazą, przez blizkie obcowanie z osobami choremi i przez dotykanie. Potrzebujemy więc dobrego lekarza, którypy nas potrafił uchronić od tego niebezpieczeństwa. A któryż lekarz daje nam pewniejszą rękojmię od Królowej niebios, którą kościół św. nazywa Lekarką chorych: *Salus infirmorum?* Być może, że ta śmiertelna choroba jest biczem, którym ręka Boża smaga świat za grzechy. Potrzebujemy więc wymownego orędownika; potrzebujemy kochającej, pobłażliwej matki, którab swojemi usilnemi prośbami rozbroiła rękę Ojca i uprosiła nam miłosierdzie i przebaczenie: *Advocata nostra, Mater Misericordiae, Vita, Dulcedo et Spes nostra*, Orędowniczko nasza, Matko miłosierdzia, Życie, Słodkości i Nadziejo nasza!

„W 1835 roku taż sama choroba nawiedziła Turyn, lecz Matka Najświętsza prędko ją stąd wypędziła. Na pamiątkę tej łaski miasto wzniosło tę piękną statuę Matki Boskiej, wyrzeźbioną z białego marmuru, która jest umieszczona na kolumnie granitowej przed kościołem Matki Boskiej Pocieszycielki.

„Ktoż wie, czy i tą razą Marya nie uchroni miasta od tej strasznej epidemii lub przynajmniej nie złagodzi jej okrucieństwa.

„Dziś obchodzimy święto Matki Boskiej Śnieżnej, a jutro zaczyna się nowenna najpiękniejszej z wszystkich uroczystości, które kościół obchodzi na cześć Matki Boskiej. Dzień ten przypomina nam zachwycający spokój i świętość Jej śmierci: przypomina nam Jej tryumf, Jej chwałę, Jej potęgę w niebie. Radzę wszystkim odbyć jutro dobrą spowiedź i przystąpić do Komunii św., abym was wszystkich mógł polecić Matce Boskiej, jako Jej ukochanych synów. Uczynicie to?“ „O, tak,“ zawołali jednogłośnie wszyscy. Ks. Bosko zamilkł na chwilę, a potem znowu zaczął mówić z uczuciem, jakiego nie potrafię wyrazić. „Jeśli się pojednacie z Bogiem i nie popełnicie żadnego grzechu światowego, to zapewniam was, że żaden z nas nie będzie dotknięty chorobą. Jeśli zaś który z was trwać będzie w nieprzyjaźni z Bogiem, lub po spowiedzi jutrzejszej odważy się na ciężki grzech, to w tedy już nie ręczę za niego ani za dom cały.“ Tak mówił ksiądz Bosko wieczorem 5go sierpnia 1854 roku.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1903.

lucrandis injuncta sunt pietatis opera rite in Domino praestiterint, Auctoritate Nostra Apostolica concedimus. In contrarium facientibus non obstantibus quibuscumque. Praesentibus perpetuis futuris temporibus valituris. Volumus autem, ut praesentium litterarum transumptis seu exemplis etiam impressis, manu alicujus Notarii publici subscriptis, et sigillo Personae in Ecclesiastica dignitate constitutae munitis eadem prorsus adhibeatur fides, quae adhiberetur ipsis praesentibus si forent exhibitae vel ostensae.

Datum Romae apud S. Petrum sub Annulo Piscatoris die IX Maji MDCCCLXXVI. Pontificatus Nostri anno Trigesimo.

Pro E. Card. **ASQUINIO.**
D. Jacobini, Substitutus.

Loco sigilli.

TŁÓMACZENIE BREWE PAPIESKIEGO.

PIUS PAPIEŻ IX.

Ku wiecznej rzeczy pamięci.

Ponieważ, jak nam doniesiono, zawiązało się wedle praw kościelnych pobożno Stowarzyszenie wiernych pod nazwą Towarzystwa albo *Związku Pomocników salezyańskich*, którego członkowie prócz wielu i rozlicznych uczynków miłosiernych i pobożnych za szczególniejszy cel sobie obrali opieką otaczać młodzież ubogą i opuszczoną: pragnąc, ażeby Stowarzyszenie to coraz więcej wzrastało, ufni w miłosierdzie Boga Wszechmogącego i we władzę śś. Apostołów Piotra i Pawła, udzielamy wszystkim wiernym płci obojga, którzy się do tegoż Stowarzyszenia zapisali albo na przyszłość zapiszą, w godzinę ich śmierci *odpustu zupełnego*, jeżeli się ze skruchą wyspowiadają i do Stołu Pańskiego przystąpią; w razie zaś gdyby tego wykonać nie mogli, jeżeli ze skruchą doskonałą Najsłodszego Imienia Jezus ustami, a w razie niemożności przynajmniej sercem pobożnie wzywać będą i jeżeli śmierć z ręki Pana jako karę za grzech cierpliwie przyjmą.

Tymże członkom udzielamy również w miłosierdziu Bożem *odpustu zupełnego* i odpuszczenia wszystkich grzechów raz na miesiąc w dniu dowolnym, jeżeli szczerze za grzechy żałując ich się wyspowiadają i do Najświętszego Sakramentu Ołtarza w jakimkolwiek kościele albo w kaplicy publicznej przystąpią i jeżeli następnie tenże sam kościół albo kaplicę pobożnie nawiedzą i korne modły za zgodę panów chrześcijańskich, za wykorzenienie kacerstw, za nawrócenie grzeszników i za podwyższenie św. Matki Kościoła do Boga zaniosą. Odpust ten zupełny mogą ofiarować za dusze wiernych zmarłych, którzy w jedności z Bogiem pozostając z tego świata zeszli. Chcąc następnie zwyż wymienionym stowarzyszonym dać dowód szczególnej naszej łaskawości, nadajemy im wszystkie odpusty tak zupełne jako i cząstkowe, których Tercyarze zakonu św. Franciszka z Asyżu dostąpić mogą, a z władzy naszej Apostolskiej zezwalamy, ażeby we święta św. Franciszka Salezego i w kościołach księży *Zgromadzenia salezyańskiego* należycie i swobodnie uzyskać mogli wszystkich tych odpustów, jakich Tercyarze dostąpić mogą we święta i w kościołach św. Franciszka z Asyżu, jeżeli ściśle dopełnią w Panu wszystkich pobożnych uczynków, które do pozyskania onych odpustów są przepisane. Wszystko, coby się temu sprzeciwiało, nie będzie mieć żadnego znaczenia.

Niniejsze pismo ma mieć swą wagę na wieczne czasy. Chcemy również, aby kopiom niniejszego pisma, bądź pisanym, bądź też drukowanym, a w podpis własnoręczny jakiego notaryusza publicznego i pieczęć osoby, godność kościelną piastującej, zaopatrzonym, taką samą dawano wiarę, jakąby dano niniejszemu pismu, gdyby było przedłożone lub okazane.

Dan w Rzymie u św. Piotra, pod pieczęcią Rybaka, dnia 9 maja 1876, Papiestwa Naszego roku trzydziestego.

Miejsce pieczęci.

Za kardynała ASQUINI
Dominik Jacobini, zastępca.

WYKAZ ODPUSTÓW

nadanych Pomocnikom salezyańskim przez Papieża Piusa IX osobnem brewem z dnia 9 maja 1876.

1. *Odpust zupełny* i odpuszczenie wszystkich grzechów w główne święta Pana Naszego Jezusa Chrystusa, tj. w. dzień Bożego Narodzenia, Obrzezania Pańskiego, w święto Trzech Króli, na Wielkanoc, Wniebowstąpienie Pańskie, Zielone Świątki, Św. Trójcę i Boże Ciało.
2. Takiż sam odpust w święta Matki Boskiej, tj. w święto Niepokalanego Poczęcia, Narodzenia, Ofiarowania, Zwiastowania, Nawiedzenia, Oczyszczenia i Wniebowzięcia Najświętszej Panny.
3. Toż samo w dzień każdego św. Apostoła, tj. św. Piotra i Pawła, św. Andrzeja. św. Jakóba większego, św. Jana, św. Filipa, św. Bartłomieja, św. Mateusza, św. Tomasza, św. Jakóba mniejszego, św. Szymona, św. Judy czyli Tadeusza, św. Macieja i św. Barnaby.
4. Również odpust zupełny i odpuszczenie wszystkich grzechów:
   w święto katedry św. Piotra w Rzymie, przypadające na dzień 18 stycznia; w święto katedry św. Piotra w Antyochii dnia 22 lutego; św. Piotra w Okowach 1 sierpnia; św. Jana w Oleju 6 maja; w święto Nawrócenia św. Pawła Apostoła 25 stycznia; na Wspomnienie św. Pawła Apostoła 30 czerwca.
5. W dzień św. Józefa, Oblubieńca Najśw. Panny; w święto jego Opieki; w dzień św. Anny, św. Joachima, św. Franciszka Ksawerego, św. Alojzego Gonzagi, śś. Aniołów Stróżów, w dzień Wszystkich Świętych, w dzień zaduszny i w dzień po święcie św. Franciszka Salezego, jeżeli się ze skruchą wyspowiadają, Najświętszy Sakrament Ołtarza przyjmą, kościół jakikolwiek albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyę Ojca Św. się pomodlą.
6. Odpust zupełny w ostatni dzień ćwiczeń duchownych, jeżeli brali udział więcej, niż w połowie tychże.
7. Odpust 300 dniowy za każdy raz odmówienia ze skruszonem sercem: *Święta Maryo, Wspomożenie wiernych, módl się za nami!*

Wszystkie te odpusty można ofiarować za dusze cierpiące w czyscu.

Brewem zwyż wymienionem z dnia 9 maja 1876 r. Jego Świątobliwość udzieliła następujących odpustów:

8. Odpust zupełny w godzinę śmierci dla wszystkich Pomocników salezyańskich.
9. Odpust zupełny raz na miesiąc w dniu dowolnym po dobrze dopełnionej spowiedzi i Komunii św.
10. Wszystkie odpusty Tercyarzy św. Franciszka z Asyżu tak zupełne jak i cząstkowe. W ten sposób mogą Pomocnicy salezyańscy dostąpić odpustu zupełnego w tym dniu, w którym się zapiszą do Związku salezyańskiego [1]).
11. Dostępuje go również każdy Pomocnik w tym dniu, w którym kończy 25 letni albo 50 letni rok swego współpracownictwa.
12. Za każdy raz odmówienia oficyum za umarłych, siedmiu psalmów pokutnych, piętnastu graduałów za umarłych. Spowiednikom daje się władzę zamienienia tych uczynków pobożnych dla starców albo chorobą złożonych, którzyby ich dopełnić nie mogli.
13. Za odmówienie trzeciej części różańca Najśw. Panny Maryi przed Najświętszym Sakramentem, a w razie niemożności, przed obrazem lub rzeźbą Chrystusa Ukrzyżowanego zyskać mogą odpust zupełny raz na dzień.
14. Dostąpić mogą wszystkich odpustów zupełnych i cząstkowych, przywiązanych do wszystkich bazylik, kościołów i miejsc świętych w Rzymie, Jerozolimie, Porcyunkuli i św. Jakóba w Komposteli, oraz odpustów wszystkich stacyi, oznaczonych w Mszale Rzymskim [2]).

---

[1]) Wykaz tych odpustów jest wiernie wyjęty z dziełka pod tytułem: *Reguła trzeciego zakonu św. Franciszka z Asyżu*, wydanego w Rzymie r. 1875 za pozwoleniem Mistrza św. Pałacu.

[2]) Objaśnienie tego nastąpi w osobnem dziełku, które wyjdzie nieco później.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).